



ROK LIX

Nr 49

# BYDUSZKA

## TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 4 GRUDNIA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Nędza mieszkaniowa Warszawy — *a. n.* Dzieci bezdomne *H. Ceysingerówna*. Zamiast radja — *M.-B.-L.* Kwestarze na procentach — *J. S.* Od Fauness do Braterstwa ludów — *C. Walewska*. Wiersz: „Zabawki norymberskie” — *Jan Brzechwa*. Mój przyjaciel szewc — *Janina Tumińska*. Jeden dzień na Maderze c. d. — *P. Mantegazza* — autor. przekł. *T. Jakubowicza*. Na marginesie „Garści wspomnień z 1863 r.” — *Gustaw Kaleński*. Początek sezonu muzycznego — *J. R.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Abażur z koronki point — *lace*. Jeszcze o modzie — *Noemi*. Panowanie brunetek — *K. D.* O wnętrzach mieszkaniowych c. d. — *Zygmunt Knothe*. Historia gotowania — *J. S.* Szafa z zapasami — *M. R. F.* Dwa budżety — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu „praktycznego”. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy kobiety annamickie” — *C. Chivas-Bazan* (tłum. *Dr. M. Kastarska*). Arkusz wzorów.

## NĘDZA MIESZKANIOWA WARSZAWY



Jeszcze przed rokiem 1914 Warszawa mogła się poszczycić najniższym stanem swych mieszkań w zestawieniu z wszystkimi innymi większymi miastami Europy. Mieszkania warszawskie były najlichsze i — najdroższe. Miljon mieszkańców skupił się na niewielkiej przestrzeni w dużych, nieestetycznych kamienicach typu koszarowego, postawionych przy wąskich stosunkowo ulicach.

Naokoło ciągnęły się „przedmieścia”, z których jedne, jak Praga i Mokotów, zabudowywały się takimi samymi „pięknymi” kamienicami jak śródmieście inne, jak Wola, Ochota, Powązki, złożone były przeważnie z niskich, często drewnianych domostw, skleconych na podobieństwo chałup, a wszystkie pozbawione były światła elektrycznego i gazowego, wodociągów i kanalizacji. Żadne inne miasto, nietylko w Europie zachodniej, ale nawet w Polsce, nie wykazywało tylu mieszkań suterenowych i poddaszowych. Żadne też, prócz Łodzi, nie stanowiło tak podatnego gruntu dla epidemii wszelkiego rodzaju, nie wyłączając tyfusu plamistego, który w krajach kulturalnych w okresie normalnym — nie podczas wojny — jest uważany za zjawisko niezmiernie niebezpieczne, bo wyjątkowo rzadkie.

Evakuacja władz rosyjskich, przymusowa lub dobrowolna ekspatriacja wielu stałych mieszkańców, wreszcie zamarcie całego życia gospodarczego w okre-

się okupacji i związane z tem poszukiwanie jakichkolwiek sposobów przeżycia na prowincji odciałyły stosunki mieszkaniowe w Warszawie pod pewnym względem. Miasto wyludniło się, z mieszkań częściowo ustąpiło przeludnienie. Ale warunki mieszkaniowe pogarszały się jednocześnie skutkiem zupełnego poniechania remontu domów i coraz mniej dbałego ich utrzymywania. W 1916 roku utworzono wielką Warszawę, która objęła dotychczasowe przedmieścia, rozszerzając nazwę stolicy na dzielnice szczególnie brudne i ubogie.

Upośledzony stan miasta w tym i poprzednim okresie znajdował wytłumaczenie w warunkach politycznych, w braku lub skrzepowaniu samorządu. Nazajutrz po odzyskaniu niepodległego bytu państwowego przeprowadzono spis nieruchomości i mieszkań Wielkiej Warszawy w myśli, że posłuży on do wyświetlenia istniejących niedomagań i ułatwi pracę nad ich usunięciem. Od tego czasu jednakże upłynęło lat siedem, a kwestja mieszkaniowa nie przestała hańbić oblicza stolicy. Przeciwnie, obraz, odbity przez ankietę z 1919 roku, nabrał barw jeszcze czarniejszych: z braku kapitałów budowlanych i z powodu nieudolności samorządu przybywa nam w tym czasie zaledwie 2% mieszkań, podczas gdy ludność miasta wzrasta o 20%. W roku 1919 na jedną izbę przypada średnio 1,95 na początku roku bieżącego 2,26 mieszkańców. Za przeludnione zaś należy wziąć takie mieszkanie, w którym liczba mieszkańców na izbę wynosi 2 lub



więcej. Przed siedmiu laty przeto Warszawa stała już na skraju przeludnienia.

O nędzy mieszkaniowej Warszawy świadczą nadto: wielka liczba małych mieszkań jedno i dwuizbowych, prymitywność ich urządzeń i koszarowość domów, w których się mieszczą.

Najczęstszym typem mieszkania w Warszawie jest jedna izba bez jakichkolwiek dodatkowych ubikacyj. Mieszkania takie stanowią 39,2% wszystkich mieszkań w stolicy Polski. Około 25 na 100 mieszkań składa się z jednej izby i kuchni. Około dwóch trzecich przeto mieszkań jest bezwzględnie pozbawione tego, co Niemiec nazywa „Wohnstube“, Anglik „drawing room“, a na co u nas jedynym odpowiednikiem byłby przestarzały, nie mający dziś żadnego zastosowania, wyraz „światlica“. Tak bardzo zżyci jesteśmy z tym stanem rzeczy, że uważamy za zupełnie normalne, gdy w mieszkaniu robotnika jedna i ta sama izba służy za sypialnię, kuchnię, pokój dziecinny i jadalnię. Nie dziwi nas też i nie obrusza, gdy do tych wszystkich sposobów korzystania z jedno lub dwuizbowego mieszkania dołączy się u rzemieślnika jeszcze jeden: umieszczenie w nim warsztatu, pracowni. Na 100 mieszkań warszawskich w 10 mieszczą się pracownie.

Mieszkania te, skutkiem wadliwego rozplanowania ulic, są zaopatrzone bardzo skąpo w słońce i powietrze. Ogromna większość mieszkań jest wilgotna, poczęści skutkiem tej przyczyny, poczęści z powodów, związanych z przeludnieniem i niehigienicznym utrzymywaniem mieszkania. Prawie dwie trzecie okien wychodzi na podwórza, przeważnie brudne, zaśmieczone i wokół otoczone wysokimi oficynami. Według danych z 1919 roku więcej niż połowa domów warszawskich była w tym czasie nieskanalizowana, a prawie połowa nie była przyłączona do sieci wodociągowej. W 63,5% mieszkań brak urządzeń gazowych i elektrycznych. Na tych punktach, być może, nastąpiła pewna zmiana na lepsze, napewno jednak większość mieszkań naszego miasta poprzestaje w dalszym ciągu na mieszkankach nietylko ciasnych i brudnych, lecz prócz tego pozbawionych najelementarniejszych udogodnień.

Trzecią okolicznością, ciążącą na jakości naszych mieszkań, jest typ domów warszawskich. Są to z reguły kilkopiętrowe budynki o typie koszarowym, pozbawione dostatecznej ilości światła i słońca, bez ogródków, nawet przeważnie bez drzew ulicznych. Posługując się wciąż danymi z przed lat kilku, dowiadujemy się, że w Warszawie na jeden dom przypadają średnio 22 mieszkania i 86 mieszkańców. Jest to znowu cyfra przodująca w stosunkach europejskich.

W Londynie na dom przypada	7,8	mieszkańców
„ Brukseli	8,9	„
„ Paryżu	38,0	„
„ Wiedniu	50,7	„
„ Berlinie	75,9	„

Koszarowość naszych domów pogarszają jeszcze: wąskość ulic, brak zadrzewienia, ciasnota podwórz i złe ich utrzymywanie. W dodatku w ostatnich latach z konsekwencją, godną lepszej sprawy, wycina się i niszczy tę trochę roślinności, jaka ostała się z lepszych czasów. Kilka eleganckich skwerków z kwietnikami i zieleńcami nie jest w możności pokryć potrzeby przestrzeni, słońca i zieloności.

Gdziekolwiek spotyka się przejawy nowych tendencji, zwrotu od budowli koszarowych do domostw jedno lub paromieszkaniowych. Na krańcach miasta powstają osiedla inteligencji pracującej, budowane prawie wyłącznie przy pomocy kredytów rządowych i dążące do stworzenia mieszkań nieco odpowiedniejszych dla potrzeb współczesnego człowieka, który po pracy, po wirze życia wielkomiejskiego, winien mieć ciszę i możliwość odetchnięcia pełną piersią. Na Żoliborzu prócz osiedla urzędniczego i oficerskiego buduje się kolonie robotnicze o domkach kilkumieszkańkowych z elektrycznością, gazowymi kuchniami, wspólnym dzieciniecem i innymi udogodnieniami. Mieszkańcy tych osiedli są w początkach przez długie lata pozbawieni komunikacji z miastem, połączenia z siecią kanalizacyjną i wodociągową, świecą lampkami naftowymi, brną w ciemnościach po bajorach w zimie, po piasku latem — i nie odbierają sobie życia, bo żyją nadzieją, że to wszystko zmieni się na lepsze. I prawda następuje, ale w jakim tempie...

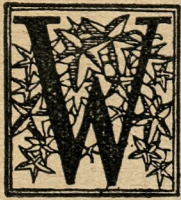
Zagranicą każde miasto posiada pewien plan rozbudowy. Nasamprzód przeprowadza się ulice. kładzie się asfalt albo bruk (nie „kocie łby“!) doprowadza się wodę, światło, potem przystępuje się do budowy. U nas inaczej.

Wiemy, że ogólną naszą chorobą jest brak kapitałów. Wiemy, że lokata kapitału w budowie najdłużej każe czekać na realizowanie zysków. Wiemy, że Warszawa musiała i musi żywić i zatrudniać znaczną rzeszę bezrobotnych. Ale wiemy też, że każdy robotnik, zatrudniony w przemyśle budowlanym, posiada zatrudnienie sześciu robotników — w cegielniach, cementowniach, stolarniach, posadzkarniach i t. d. I wiemy, że Wiedeń, którego warunki są napewno nielepsze, w ciągu trzech lat wybudował 25.000 małych mieszkań i buduje w dalszym ciągu, dostarczając swoim mieszkańcom współczesnych schronisk, a swym bezrobotnym — pracy, zamiast demoralizującej jałmużny.





## DZIECI BEZDOMNE



wielkich miastach, tam zwłaszcza, gdzie opieka społeczna nie stoi na najwyższym poziomie, a położenie ekonomiczne kraju jest ciężkie, spotykamy smutne nad wyraz zjawisko: **d z i e c i b e z d o m n e**.

Skąd się biorą?

Wyrzuca je na bruk nędza, sieroctwo, przestępczość rodziców, wyrzucają je kataklizmy i przewroty polityczne i społeczne, a czasem pewne chorobliwe zboczenia instynktu, pewne tajemnicze atawizmy, z którymi walczyć najtrudniej.

W okresie, po rewolucji 1905 r., zjawisko to wystąpiło, w niezwykle wielkich rozmiarach, w Łodzi. Liczono tam tysiąc przeszło dzieci bezdomnych. Były to przeważnie dzieci po robotnikach, zesłanych za działalność rewolucyjną na Syberję, w głąb Rosji...

Teror rządowy szalał wówczas w Łodzi. Na jednej z ulic w śródmieściu wyglądała z za płotu szubienica...

I nikt tych dzieci z ulic nie zbierał, nikt im nie spieszył z pomocą.

Działające wówczas na terenie Królestwa Kongresowego Towarzystwo Opieki nad dziećmi, nie miało dosyć sił, środków, pieniędzy, wpływu. Działo w szczupłym i zgoła nie wystarczającym zakresie. Dzieci ginęły w znacznym procencie, wyrastały na bandytów, złodziei i prostytutki.

Zjawisko dzieci bezdomnych doszło obecnie, jak wieść niesie, do rozmiarów potwornych w Rosji sowieckiej. Bandy bezdomnych i zdziczałych dzieci stanowią tam wprost klęskę społeczną. Nie robi z tego tajemnicy prasa rosyjska. W samej Moskwie liczą ich pono na dziesiątki tysięcy.

A u nas?

Nie ulega wątpliwości, że w Warszawie, o której narazie wyłącznie mówić będziemy, istnieje pewna, niezbyt zresztą wielka, ilość dzieci bezdomnych, tułających się po ulicach, pozostawionych losowi, i własnej pomysłowości zawdzięczających swój byt.

Dzieci te trudnią się drobnym handlem, żebrzą, kradną... nocują po przytułkach noclegowych, pod arkadami mostów, we wnękach gmachów.

Na wiosnę rozchodzą się po wioskach podmiejskich i znajdują tam zajęcie przy „pasjonkach” pielęgnii warzyw i innych łatwiejszych pracach rolnych. Na zimę, niepotrzebne już na wsi, wracają na bruk warszawski.

Podzielić je można na dwie kategorie: tych, które w ten sposób żyć muszą, nie mając domu, rodziców, opiekunów, schronienia, i tych, które chcą.

W pierwszej kategorii spotyka się dzieci nietylko dobre i uczciwe, ale wprost nieraz wyróżniające się wartością charakteru i wolą. Nie łatwa to bowiem rzecz nietylko dla dziecka, ale nawet dla człowieka dorosłego, zachować w zgłęsku miejskim, wśród tysiącznych pokus, pod obuchem nędzy, niekniętą prawosć. A z pośród dzieci tych wiele znanych jest dobrze sędziemu dla nieletnich. Przyprawia mu je policja pod zarzutem włóczęgostwa. Przyprawia nieraz kilkakrotnie. Nigdy jednak nic innego zarzucić im nie można, prócz tej nie-szczęśliwej bezdomności. Nawiasem mówiąc, przeraźliwe są te dysonanse

między literą praw a życiem. Jakże można dziś w Polsce robić komuś zarzut z bezdomności?!

Sędzia dla nieletnich dzieci tych oczywiście nie karze, karę im odracza, ale one są „niepoprawne”. Wciąż nie mają domu!

Co do drugiej kategorii dzieci — miewają one nieraz i rodzinę i dom, w którym nie jest im źle, a przynajmniej nie gorzej, niż innym dzieciom z ich sfery, a które jednak jakieś tajemnicze, po bardzo odległych przodkach otrzymane dziedzictwo, gna z ciasných klatek miejskich na swobodę, na życie, pełne przygód i niespodzianek, na włóczęgę po ulicach, zaułkach, przedmieściach. Jedna z opiekunek sądowych ma obecnie powierzona sobie dziewczynkę, żydówkę, którą rodzice, względnie zamożni rzemieślnicy, otaczają najczulszą, właściwą żydowskim rodzinom, troskliwością, a która jednak, raz po raz, ucieka z domu, ginie na przeciąg kilku tygodni, czasem dłużej, po pewnym czasie wraca sama, albo odprowadza ją policja, albo odnajdują rodzice. Od wygodnego i ciepłego łóżka w domu woli ona nocleg w klatce schodowej, od nauki w szkole lub pracy domowej — dzięki włóczęgę o głodzie i chłodzie. Dzieci tego rodzaju są to typy psychopatyczne pod wielu względami i prawie zawsze nieuleczalne. Potrafią one uciec z przytułku, z więzienia nawet.

Dzieciom bezdomnym użycza opieki cały szereg instytucji państwowych i komunalnych, a najpierwszym etapem ich drogi życiowej pod egidą społeczeństwa jest t. zw. Pogotowie Opiekuńcze dla dzieci. Odziedziczone przez Miasto po nieistniejącym już dziś Towarzystwie Opieki nad dziećmi, ma obecnie siedzibę swoją na Pradze przy ul. Targowej Nr. 66.

Ciekawą tę instytucję pomyślano jako stację tranzytową, z której dzieci po parotygodniowej izolacji i dłuższej obserwacji lekarskiej i pedagogicznej przenosić się winno do innych zakładów, stosownie do zauważonych cech fizycznych, moralnych i intelektualnych.

Taką jest, bardzo rozumna, koncepcja tego zakładu.

W praktyce jednak dzieje się nieco inaczej. Przedewszystkiem zaznaczmy, że lokal jest nieodpowiedni — na trzecim piętrze, bez jakiegokolwiek ogrodu, a choćby podwórka, po którymby dzieci biegać mogły, nadewszystko zaś — za szczupły.

Miało niegdyś Pogotowie dla dzieci lepszą siedzibę, na Puławskiej, gdzie dziś t. zw. „Ośrodek Zdrowia”, ale stamtąd je usunięto i przeniesiono na Pragę. Tam było miejsc znacznie więcej i powietrza i przestrzeni. Tutaj miejsc jest 55, a dzieci potrzebujących chwilowego przytułku znacznie, och, znacznie więcej! Przytem, z powodu chronicznego braku miejsc w innych stałych zakładach, Pogotowie przetrzymywać musi dzieci po kilka miesięcy, czasem po kilka lat... a napływ nowych kandydatów z konieczności wstrzymany być musi.

Podobno Magistrat nosi się z projektem budowania wielkiego domu dla „Pogotowia...” podobno...

Do „Pogotowia” przyprowadza dzieci policja, odsyła Sąd dla nieletnich, Komisarjat Rządu, Magistrat. Obywatel, któryby chciał umieścić tam dziecko, uczynić to musi przez





Komisariat, gdzie spisuje się protokół, stanowiący dla dziecka rodzaj dowodu osobistego.

Kierowniczką instytucji jest pani Kierstowa, osoba, jak się zdaje, niepospolitej energii i utalentowana wychowawczyni.

Zarzucona przeze mnie pytaniami, opowiada rzeczy interesujące i smutne.

„Pogotowie“ przyjmuje dzieci od lat 5-ciu do 15-tu. Przyprawione dziecko otrzymuje przede wszystkim kąpiel, podlega ostrzyżeniu włosów i ogólnemu oczyszczeniu, poczem dostaje odzież zakładową i przechodzi do izby izolacyjnej. Po dwóch tygodniach obserwacji lekarskiej można już przyłączyć je do innych dzieci. Dzieci uczą się, bawią, robią roboty ręczne, wychodzą na spacer. Nauka, z powodu ruchomego elementu dzieci, nie może być oczywiście prowadzona systematycznie. Przed oczyma kierowniczki przesuwa się najrozmaitsze typy psychiczne, najróżnorodniejsze powikłania życiowe.

Obecnie jest w zakładzie n. p. troje dzieci z rodziny inteligenckiej. Ojciec - artysta, pod zarzutem fałszerstwa aresztowany — żona z najmłodszym dzieckiem w przytułku noclegowym — troje starszych dostało się do „Pogotowia“ — grzeczne, inteligentne...

Najczęściej jednak są to dzieci nędzarzy,

Pewnego razu przyprowadzono małego cygana. Był bystry, zdolny, przyzwyczał się do otoczenia, żył z niem. Po pewnym czasie zgłosiła się po niego matka. Nie chciał się do niej przyznać. Nie chciał opuścić zakładu. Twierdził, że chce być Polakiem i katolikiem. Obecnie jest w zakładzie Rodziny Marii. Często trafia się, że dzieci nie chcą powrócić do rodziców. Pewna kobieta np. wypatrzyła wśród dzieci swego zaginionego syna. Przyszła z płaczem, rzuciła mu się na szyję, ale chłopiec utrzymywał uparcie, że to nie jego matka. „Nie znam tej baby“ — powtarzał.

Smutne bo ogniska rodzinne miewają te dzieci. Nad pewnym chłopcem pastwił się ojciec — pijak, przykuwał go na łańcuchu do podłogi itd. Chłopiec uciekł i dostał się do „Pogotowia“. Rodzice go odebrali i znów uciekł od nich, i znowu znalazł się pod opieką p. Kierstowej. I tym razem jednak zabrała go matka, zobowiązując się do ludzkiego z dzieckiem obejście.

Do kategorii nałogowych włóczęgów należał chłopiec, którego 9 razy przyprowadzano do „Pogotowia“ i za każdym razem prezentował się pod innym nazwiskiem.

Inny uciekał również po to, by zebrać po ulicach; typ zdegenerowany, nieuleczalny!

Z chłopców normalnych wychowanie zakładowe uczynić może dzielnych, pożytecznych, a nawet wybitnych ludzi.

Opowiada p. Kierstowa, że jeden z jej wychowanków, który przybył do „Pogotowia“ jako dziki, ponury analfabeta, jest dziś w 7 klasie gimnazjalnej, inny otrzymał już maturę, jeszcze inny jest majstrem w wojskowej wytwórni amunicji. Kilkudziesięciu uczy się różnych rzemiosł. Dla tych ostatnich znajduje się przy ul. Żelaznej 95—założona przez Miasto Bursa.

Bursy tej dyrektorką jest również pani Kierstowa, dzieląca czas swój i siły między dwie pożyteczne instytucje.

Zakład ten, urządzony według najnowszych wymagań higieny, czysty, widny, obszerny, dowodzi, że jeżeli nie wszystko zdołaliśmy jeszcze przerobić na nowy europejski ład, to przecież mamy już niektóre rzeczy, godne XX stulecia.

O ile o chłopcach wyraża się kierowniczka „Pogotowia“ bardzo optymistycznie, o tyle dziewczyna — włóczęga jest dla niej istotą prawie zawsze beznadziejnie straconą. Doświadczenie nauczyło ją podobno, że dziewczynka taka staje się bezwarunkowo na całe życie łupem prostytucji.

Niewątpliwie sprawa, gdy o dziewczynę chodzi, jest o wiele bardziej skomplikowana; jednakże, czy nie popełniamy przez to omyłki, że dziewczynkę taką chowamy zupełnie tak samo, jak chłopca, że nie szukamy innych sposobów, że nie tworzymy dla niej osobnych, i inaczej prowadzonych, instytucji?

Przez „Pogotowie“ przesuwa się smutne okazy młodocianych ofiar nieładu; są tam obecnie np. 4 syfilityczki, są niedorozwinięte, epileptyczki itd. itd. a wszystko to stłoczone w małej sypialni.

O dziewczęta dba się zawsze mniej, niż o chłopców, więc dla nich np. nie stworzono takiej bursy, jak na żelaznej. Z „Pogotowia“ idą najczęściej do „Magdalenek“ do Henrykowa.

Są przecież ludzie, którzy szukają, usiłują stworzyć nowe metody oddziaływania na, wykolejone z normalnego trybu życia, dziewczęta.

Jedna z opiekunek sądowych, pani Rotwandowa, ściga je do swego mieszkania na kursy robót ręcznych i pogadanki. Schodzą się tam i te, co już stały przed Sądem dla nieletnich, i te, co chorobliwie uciekają z domów. Z początku nie chcą pracować, potem przykład koleżanek zachęca je, robotki zaczynają zajmować, bawić, pogadanki i głośne czytania interesują. Dzikie istoty, o instynktach nomadów zaczynają się przyswajać; do opiekunki swojej pisują listy, w których interesująco nieraz odbija się ich stan psychiczny. Po pewnym czasie uspokajają się i pozwalają sobą i swoim życiem kierować.

Może to jest właściwsza droga oddziaływania, niż zamknięcie w Zakładzie, co nie wyklucza jednak, że mogą znaleźć się wśród nich jednostki, dla których zakład zamknięty okaże się właśnie najodpowiedniejszym.

Podejmując zadania z zakresu opieki społecznej, trzeba koniecznie segregować, indywidualizować, zwłaszcza, gdy chodzi o skomplikowane tak bardzo natury kobiece.

Nigdy zaś nie wolno kłaść nad duszą jakąś znaku potępienia.

Oto uwagi, jakie nasunęły mi się przy zetknięciu ze zjawiskiem „dzieci bezdomnych“.

Przedewszystkiem zaś wielkim głosem wołać trzeba o rozszerzenie „Pogotowia Opiekuńczego“ tak, żeby w niem znaleźć mogły przytułek wszystkie zbłąkane, sieroce, prześladowane, drżące z zimna i głodu—bezdomne dzieci.

H. Ceyringerówna.





# ZAMIAST RADJA

## UDZIAŁ PRACY KOBIEC.

Szerokie zastosowanie pracy kobiet w przemyśle zjawia się jednocześnie z współczesnymi systemami produkcji — równorzędnie z wprowadzeniem maszyn i siły mechanicznej. Urządzenia te uczyniły zbyt znanymi zarówno przygotowanie fachowe, jak siłę fizyczną, które stanowiły nieodzowne warunki poprzedniej produkcji o charakterze rękodzielniczym. W miarę rozrostu przemysłu fabrycznego, widzimy w całym świecie ciągły wzrost pracy kobiet, które stają się w niektórych gałęziach czynnikiem pierwszorzędnego znaczenia. W ostatnich dziesiątkach lat, odsetek kobiet, zatrudnionych w przemyśle, oceniają na 23—36% ogółu roboczego. W rolnictwie udział ich jest znacznie liczniejszy i stanowi przypuszczalnie 45—55% ogółu. Ekonomista rosyjski Wojtinskij oblicza zatrudnionych pracą najemną w Europie (wraz z Rosją) na mniej więcej 30 milionów. Z cyfry tej 8—10 milionów pracuje w przemyśle, 2—3 milionów w handlu i komunikacjach, 7 milionów stanowi służba domowa, 10—13 milionów zatrudnionych jest w rolnictwie.

Najszybciej wzrastała w ostatnich czasach liczba pracownic fabrycznych w kraju, który dokonał i dokonywa ostatnio największych w Europie postępów w zakresie przemysłu, mianowicie w Niemczech. W ciągu 30 lat od 1893 do 1922 roku liczba ich wzrosła tam z 690 tysięcy do 2.016.000 czyli niemal trzykrotnie. Podobny obraz przedstawia drugi wysoce uprzemysłowiony kraj w Europie — Francja. Już w 1868 roku liczba robotnic, zatrudnionych w różnych działach przemysłu i komunikacji we Franeji wynosiła prawie 28% pracującego ogółu, t.j. 1.307.000. W czterdzieści lat później było ich 2.548.000, co stanowiło z górą 34%. Podczas wojny odsetek pracujących kobiet wzrósł nieproporcjonalnie skutkiem zmobilizowania wszystkich prawie mężczyzn, zdolnych do pracy. Po wojnie w okresie demobilizacji nastąpiła fala odwrotna, i dziś liczba kobiet pracujących w przemyśle równa się przytoczonej powyżej z 1906 roku.

Wojna wywołała takie same zmiany w zatrudnieniu kobiet w Wielkiej Brytanji, gdzie w 1914 roku udział ich w przemyśle wyrażał się w 25,7%, w liczbie zaś realnej w 2.179.000. W chwili zawarcia zawieszenia broni, a więc w listopadzie 1918 roku było ich 2.975.000, a stanowiły one przeszło 36% wszystkich

robotników przemysłowych. Natomiast w połowie 1924 roku cyfry te spadają poniżej poziomu przedwojennego, do 1.991.000, t. zn. 24,4% pracującego ogółu. Zjawisko to tłumaczy się ogólnym bezrobociem w związku z przeżywanym przez Wielką Brytanię ciężkim kryzysem.

Dla Polski niezmiernie trudno obliczyć odpowiednie pozycje, a to z powodu bądź braku właściwej statystyki w b. zaborze rosyjskim, bądź różnych metod jej prowadzenia. Sprawozdanie z działalności inspekcji pracy w 1924 roku podaje — na ogólną liczbę 644.335 robotników przemysłowych w Polsce — 174.064 osób płci żeńskiej, zastrzega jednak, że cyfry te nie obejmują całego państwa. Wniosując z tych liczb niekompletnych, w przemyśle polskim przypadłoby na 100 pracujących 27 kobiet. Tymczasem sprawozdania urzędujących w b. Królestwie Polskim rosyjskich inspektorów fabrycznych określają odsetek robotnic na 33,9% ogółu pracującego. Znaczna różnica w tych danych pochodzi prawdopodobnie z dwóch przyczyn. Popierwsze, z różnicy w branych pod uwagę terenach, bowiem województwa środkowe, stanowiące dawne Królestwo Polskie, posiadają największy w państwie przemysł włókienniczy, który zatrudnia szczególnie wysoki odsetek kobiet. Podrugie, liczby polskich inspektorów pracy, pochodzące z okresu powojennego, muszą być oceniane z tego samego stanowiska, jakie zaznaczyliśmy powyżej, gdy była mowa o Anglii: w okresie kryzysu przemysłowego i bezrobocia, gdy pracy jest mało, mężczyźni gotowi są zajmować źle płatne, mniej ważne placówki, które w latach pomysłności gospodarczej pozostawiane są kobietom.

Wszędzie jednak w Europie praca kobiet nie dosięgła takiego rozwoju, jak w Stanach Zjednoczonych, kroczących na czele współczesnych postępów przemysłu. W 1880 roku w przemyśle Stanów Zjednoczonych było tylko 2.600.000 kobiet, t.j. 14,7% ogółu robotniczego. Po 40 latach spis ludności w 1920 roku wykazał 8.500.000 robotnic przemysłowych — cyfrę niemal w czwórnasób wyższą. Procentowy zaś stosunek wzrósł w tym samym czasie z 14,7% do 21,1%. Potwierdza to w pełni postawioną przez nas na początku tezę, że rozwojowi przemysłu odpowiada rozwój pracy kobiecej.

M. B. - Ł.

## KWESTARZE NA PROCENTACH

Miasto. Ulica. Dzień pogodny, jasny. Na jezdni pusto, natomiast chodniki przepełnione. Ludzie suną powoli, jakby bez celu, jakby lubując się swojimi ruchami, powolnymi dzisiaj, bo idą nie po zarobek, jeno dla odpoczynku. Tak bywa zwykle w ciepłą, pogodną niedzielę wiosenną.

Onego dnia było coś więcej. Polski tłum zwykle to wiele ludzi, z których żaden nie ma i nie chce mieć nic wspólnego z innymi. Dlatego tak mało w nim wesołości. Bo niema radości wspólnej. Tym razem wszyscy jacyś inni. Spoglądają na siebie życzliwie, wesoło, świętują wspólnie. Odczuwa się coś niezwykłego, a dobrego, co ten tłum łączy i niemal podnieca.

Nietrudno spostrzec znak tej łączności, zarazem symbol święta dzisiejszego. Każdy ma w butonierce

kwiatek taki sam, każdy patrzy, czy wszyscy spotkani mają go także. Co jakiś czas widzi się na chodniku, damę mniej lub więcej dystygowaną i przystojną, rozdającą owe kwiatki. To ona swojimi uśmiechami roznieca ten miły nastrój naokoło. Ludzie nie znający się wcale, uczestniczyli przed chwilą w drobnym akcie towarzyskim o celu społecznym. Są nieco tem zaszczyceni i zadowoleni z siebie. Nadto wszyscy są równi. Wyrobnik za swoje dziesięć groszy dostał kwiatek taki sam, jak ów bogacz, którego wielki srebrnik ledwo się zmieścił do puszeki. Każdy dał wedle możliwości, a pani każdemu dziękowała. Tak wyglądał pierwszy „kwiatek” na ulicach Warszawy. Ogromnie dawno, bo wtedy były młode te panie, które dziś już nie kwestują.



Proszę to porównać z dzisiejszą kwestą. Nie będę się nad nią znęcał opisując. Bo wystarczyłoby opisać bez komentarzy, bez złośliwości w przedstawianiu. Krótko mówiąc, nie zauważy człowiek, że to dziś dzień takiej, czy owakiej instytucji, dopóki go nie zaczepią miej lub więcej natrętnie i... bez skutku.

Tak bywa, jeżeli to „kwiatek“. Gorzej, jeżeli loterja. Ulica robi się wtedy wstrętna. Na każdym rogu ktoś się wydziera w przykry, jarmarczny sposób. Na każdym rogu ktoś kupczy wielkimi obietnicami, albo wielkimi zakłęciami. Biedne dzieci wołają na ciebie ochryplym głosem kramarza, jaskrawy stolik obiecuje ci łatwy zarobek za szczęśliwie rzucony grosz na ubogie matki. A wynik społeczny?

Miałem sposobność zetknąć się z podszewką takiego kwestarstwa. Instytucja społeczna uzyskała prawo urzędzenia loterii. Oddała losy w komis specjalistyczne. Obiecała za to 30 proc. czy nawet więcej. A on jeszcze wywodził pretensje o zwrot nadzwyczajnych kosztów. Wytworzył się szczególny proceder: przedsiębiorców od imprez dobroczynnych z legionem agentów. Ludzie dają na biedę, a za znaczną część ich pieniędzy urządzi się te szpetne budy i reklamy i żywi się niebieskie ptaki specjalistów od kwestowania. Trzebaż sobie uświadomić, co znaczy kwestowanie.

Jest instytucja, której zadaniem jest pomagać jakimś biedzie. Ludzie, którzy ją prowadzą, sami dają, co mogą, o resztę odwołują się do dobroczynności publicznej. Osobami swojemi ręczą, że cel instytucji jest zbawienny, że grosz na nią dany będzie sumiennie oddany tym, co na to zasługują. Raz kiedyś postanawiają wyjść z kwestą wprost na ulicę. Zwracają się o datki do przechodniów—wszystkich i do każdego z osobna. I przechodzień daje. Bo konstrukcja moralna kwesty jest taka: Kwestarz spełnia akt pokory w imię bliźniego, potrzebującego pomocy. Kwestarz daje swój czas i fatygę. Najczęściej jest to kobieta, nieprzywykła do wystawiania godzinami, nieprzywykła do zwracania się do każdego, kto z brzoza. Wzywa cię do współdziałania. Daje pracę zbieracką, daje i ty grosz na sprawę, dla której ona więcej od każdego z nas daje. Dlatego to przechodzień daje. Czuje się w obowiązku. Ta kwestarka go zawstydza, byłby zażenowany, gdyby nie dał, gdyby nie poszedł za tym przykładem ofiarności, jaki demonstruje kwestarka-ochotniczka, żebrząca nie dla siebie na ulicy.

I jeszcze jedno. Jeżeli na każdym kroku widzimy kwestarzy-ochotników, znaczy to, że kwestuje instytucja, do której tylu ludzi ma zaufanie, która tylu

ma życzliwych i dzielających jej zamierzenia.

Kwestarz wynajęty, kwestarz na procentach, dzielący się z instytucją uźebnanym groszem, nie ma tych wszystkich atutów za sobą. Instytucja, która się nimi posługuje, nie ma widocznie ludzi, którzyby w niej pracowali. Bo co innego jest zmobilizować armję kwestarzy ochotniczą, a co innego — zawrzeć umowę z przedsiębiorcą.

Powie kto na to, że dzisiaj inne czasy, że dzisiaj dama z „towarzystwa“ nikogo tak dalece nie wzrusza, że to, co piszę, jest—krótko mówiąc—niedemokratyczne. Odpowiem: proszę zobaczyć, jak wygląda kwiatek na dom ludowy na zapadłej wsi. W niedzielę przed kościołem kwestuje Zośka Barylanka, asystuje Józek Małolepszy. Nie żadna dama w fokowem futrze i nie dziedziczka z kolatorskiego dworu. A jednak każdy wrzuca coś do puszek — gospodarze, parobcy i dziedzice. Bo Zośka jutro pójdzie do wyrzucania gnoju za groszową dniówkę, ale dzisiaj to obywatelka, która włożyła najleprzą kiecczynę, kwiatek papierowy we włosy wpięła, uszyła sobie sama szarfę z perkalu, i zamiast hichotać z rówieśnikami pod kóścielnym murem, zabiega z powagą i wdziękiem, na jaki ją stać, o grosz na dobrą sprawę. Ona dziś ofiaruje swoje starania darmo i dlatego zobowiązuje każdego do datku, zawstydza skąpców i pobudza ofiarnych, aby uszanowali ten jej gest i odpowiedzieli swoim, sięgając po kiesę.

Mamy teraz jesień późną, sezon kwiatków minął, do przyszłych—czasu dużo. Wystarczy go na rewizję ostatnich metod kwestowania i na zorganizowanie lepszych. Ale ktoby omieszkał z niego skorzystać, może na wiosnę zostać z kwiatkiem, nie wartym nawet kwitka przysłowiowego. Kwesta płatna ma się ku upadkowi zupełnemu. Obywatele mogą zażądać, żeby ich obcy ludzie na ulicy nie zaczepiali, i władze z trudnością będą mogły odmówić im słuszności. Co innego ofiara, a co innego zarobek.

Jeszcze jedno. Z upadkiem kwesty płatnej stracą zarobek, obok ptaków niebieskich, także ci poczciwi inwalidzi życiowi, co inaczej nie umieli zarobić. Sądzę, że mogliby znaleźć zajęcie w tych samych instytucjach, jako inkasenci drobnych składek członkowskich. Ludzie nie chcą pamiętać o składkach, nie chcą zajmować się ich wysyłaniem. Nie lubią też płacić dużo naraz. Tedy dla ich wygody, dla wygody płatnika słusznym jest wynająć inkasenta, który przyjdzie do nich raz kiedyś po składkę do domu.

Mam wrażenie, że wynik praktyczny ostatnich kwiatków potwierdza niniejsze uwagi.

J. S.

## OD FAUNESS DO BRATERSTWA LUDÓW<sup>1)</sup>

(W RZUCIE BEZPOŚREDNIM)

Zdawałoby się — paradoks. Zestawienie rzeczy, między którymi niema nic zbieżnego. „Faunessy“ — tło — lekkomyślna Nizza. Kilka kobiet, które są jak cienie, stworzone w mózgu ludzkim i kilku mężczyzn, filozofujących na temat tych istot „z retorty“. Wszyscy mówią o miłości. Ale każdy słucha tylko siebie. Wtórjuje głosem ciche morze, kołyszące do snu muszle i korale. I chrzęst liści palmowych. I szelest kwiatów pomarańczy. Ale obce im to. Szukają sami w sobie rozwiązania egotycznych zagadek i nic nie znajdują. Hieratyczna dogarezza o czarno-złoty, cesarsko-królewskich bardzo zmęczonych oczach pod opadającymi od ciężaru rzęs powiekami, topi w ko-

ronkach jakiś wyraz dawnego szczęścia. Śpi, chodzi, kąpie się w płaszczach point Richelieu, złościących na delikatnem jej ciele wzorzyste desenie, jak odciski liści przedwiecznych w krzemieniu. Umilowała je nad wyraz. Jak towarzysza jej o oczach dzikiej rezedy umilowała taniec, który sam w sobie jest tajemnicą, bo „wszystko rozplywa się w nim, jak te ruchy, na-

<sup>1)</sup> Marja Jehanne Wielopolska „Faunessy“. Kraków. Księgarnia Literacka. 1913 r.

Marja Jehanne Wielopolska „Braterstwo ludów“ (Rzecz o dziele nieświadomości). Wydawnictwo „Płomień“, Książnicy Naukowej w Przemysłu, Skład główny Z. Wawrzynowicz, Warszawa, Piękna 16 b.



stępujące po sobie i przeczące sobie — negacja życia i samo życie. — Płaczą się wśród fauness i faunów zachodu ludzie wschodni, wykołysani pod namiotami z szerści. Patrzą na dziw innego świata ludozerczemi oczami koloru bleu d'enfer i nic nie rozumieją. Wszystko na własną mowę tłumaczą, przystosowani zewnętrznie do cerebralnych wybrzków żyjących cieni. Wewnętrznie dzicy, jak byli.

Wszystko tu jest, jak w teatrze zwidzeń. Do pałacu Faunessy o rezedowych oczach wstępuje się z katakumbową lampką oliwną, którą każdy dostaje w przedpokoju. W salonach ciemno. Faunessę boli, że gdy wchodzi ludzie piękni, mądrzy, dobrzy, światła nie płoną jaśniej i nie gasną w demonicznej aurze. Więc niech każdy sam sobie zaświeci.

Faun czy satyr—wolnomysliciel— o twarzy, jakby ugniecionej z polerowanych kulek, nie uznawał dzieł sztuki. Pusto było w mieszkaniu jego. Tylko lustra i makaty na ścianach. Niezliczona mnogość. I puffy na podłodze z szachownicą futer. Białe niedźwiedzie, lwy, czarne pantery. W murze głębokim najodleglejszego pokoju jedna jedyna rzeźba. Marmurowy nagi olbrzym z głową, wciśniętą w kolana drobnej malutkiej dziewczynki. Jakiś hieratyczny, oderwany symbol.

— Dlaczego tylko to jedno dzieło?... I... czy jego dłuta?...

— Cyt, cyt... Nie kładźmy imienia temu, co wieczne, a więc bezimienne. W języku ludzkim nie ma nazw dla rzeczy wiecznych. Mnogość nie jest wieczna. To tylko wieczne, co jest jedno i temu się imienia dawać nie powinno...

W gajach złud zmysłowych tańczą taniec widmowy te nicejskie chochoły. Dokoluśka, dokoluśka. W sennem zapamiętaniu. Każdy o czemś marzy. Każdy czegoś pragnie. Nawet ci, w których jakiś granat zabójczy potrzaskał, zdawało się, na zawsze, żywe ludzkie czucie.

Ale siedem bram gajów cyprysowych wychodzi na jedno wielkie cmentarzysko. W tępem odrętwieniu rzucają się widma na groby. Nic już ich nie czeka. Człowiek ze wschodu zażądał do haremu dziewczynki o oczach z palonego indyga. Miała z lubym swym chłopcem stworzyć państwo czystej miłości. Żeby pary ludzkie łączyła tylko jednoimienna wartość duchowa. Bo „nieczystość mężczyzny i bierna w tem współwina kobiety jest owem pierwszym oczkiem wypuszczonym z sieci, po którym pruje się cała sieć powoli, ale pewnie“. Oddała matka do haremu dziewczątko - marzycielkę. Za siódmą bramą nadziei został chłopiec - marzyciel sam. Czy wytrwa?

Przegrała stawkę główna bohaterka Fauness, której rodzące się uczucie przemyka, jak błędny ogień, po przez wszystkie widziadła powieści. Miała położyć serce, naprawdę serce na dłoni wymarzonego człowieka. Przyszedł i odszedł. Nie znalazł w niej, czego szukał. Może linji?... Uśmiechu?... Giestu?... Zawiedziony, odszedł. A jej dusza rzuciła się na cmentarzysko.

Niewiem, jak dawno M. J. Wielopolska napisała Faunessy. Wydane zostały w 1913 r. A więc na rok przed wybuchem wielkiej wojny.

Zawrzało. Padły szrapnele, granaty. Rozterkotały się miljarde kulomiotów. Runęły gaje cyprysowe, złudy i grobowce chimerycznych udręczeń. Rozgrzmiała rzeczywistość i wzięła cierpiętników za bary. Czy był czas na rozpamiętywanie zawodów i goryczy miłosnych?

Do bronil... Do bronil... Świat zmienił się w cmentarzyska rycerzy, na których wybujały runie najśmielszych realnych nadziei. Kto żyw—stary, młody, kobieta, dziecko—biegł z zagwią płonąca budować nowy

świat. Padły państwa mocarne. Wskrzesły powalone wiekami niewoli pigmeje, nad którymi przestano już nawet odprawiać requiem.

Gromy, Bój. Krew. Tracone codzień, co godzina tysiące istnień ludzkich. Ale... „Z drzącem uwielbieniem w zdławionem kanibalstwie mojem kłaniam się Tobie w pas, wojno. Pani łaskawa. Bo z ilitu szczodroblowości Twojej wyrósł kwiat podobny słońcu — Ojczyzna moja!“<sup>1)</sup>

Odwrociła się od widm chochołowych autorka kunsztownych Fauness, cała życiu podana, wrzajem koliskiem porwana, w pyle bojowych potrzeb unurzana, żarem patrijotycznym rozdyszana. Aż do szału. Aż do zapamiętania. Aż do ekstazy, ponadświadomych zwidzeń.

Śpią spokojnie w cieniu spełnionego bez wiedzy i woli swojej zadania heroje całego świata. M. J. Wielopolska wystawiła im pomnik. Nie z granitu i bronzu. Nie w linję architektoniczną zakłęty. Zagrały na cmentarzyskach surmy i spłynęła pieśń.

Rycerzom świata na chwałę.

Pieśń, która powinna być wieczna.

Drukował ją „Bluszcz“ pierwszy. W książce wyszła parę miesięcy temu.

Dlatego „Braterstwo ludów“ przywołuje na myśl „Faunessy“, kiedy w między czasie pojawiło się kilka innych prac Wielopolskiej?<sup>2)</sup> Kiedy „przedewszystkiem z natury patrijotycznego i bojowego napięcia powinno było wywołać ducha Kryjaków? „Ten potężny głos, pierwszy w literaturze o straszliwym roku powstania“ (Żeromski — Przedmowa).

Forma i antyteza. Oto dwa najgłośniejsze czynniki, wywołujące punkt porównania. Pozatem świat międzynarodówki bohaterów skupionych w jednym ognisku Fauness, rozrzuconych na polach bitewnych świata w „Rzeczy o nieśmiertelności.“

Więc forma. Tu i tam ciągłość opowiadania w różnolitości epizodów. Tu i tam nic czerwona wątku głównego. Tylko — w widmowych Faunessach racja bytu, opartego na złudzie dorywczych upojeń i pomyłonej miłości, kończy się u grobowców nadziei. W Braterstwie ludów — z grobów, z cmentarzysk rwie się tryumfalna fanfara odrodzenia. Wstają nowi ludzie do nowych celów. Wstają i zaraz umarli. Heroje rozdarci kulami, którzy wołają do ludzkich widm żyjących: „A oto wasz cell“ Wasza droga! Wasze wielkie, nieświadome przeznaczenia. Z krwi naszej przyszło wyzwolenie. Z krwi naszej dopełnione wyroki. Więc jak my, wstańcie, czuwajcie!

Nie wie czarny żołnierz Afryki, ani hindus, który legł obok napuszonego angielszczyka, że padł za Polskę, kraj obcy, o którym nigdy nie słyszał, z którego nazwy śmiał się może, wymawiając ją opacznie. — Nie wie opasły prusak, który nienawidził „verfluchte Polen“, że za nich został trafiony granatem. Nie wie piegowata flamandka, powieszona bez sądu za jakąś zdradę. Nie wiedzieli. Nie wiedzą. Prowadziła ich ślepa konieczność. Grzmiąca salwa zwycięskiej woli życia pogrzebanego narodu.

„Kolumno Memnona, płacząca o świecie niesamowitem wyciem!... Wyj! płacz! tarzaj się w ból! rwij szaty!

„Wszystko niczem w obec urodzin mojej Ojczyzny!“<sup>3)</sup>

C. Walewska.

<sup>1)</sup> „Braterstwo ludów“. Antyfona.

<sup>2)</sup> Synogarlice. Nowele Warszawa, Kraków. Nakł. „Książki“ 1915.

Kontryfałowe lichtarze u św. Agnieszki. Warszawa. Nakł. firmy „Ignis“ 1922.

Danina. Nakł. Wydawn. „Książek zajmujących“. Przemysł 1925.

<sup>3)</sup> Braterstwo ludów str. 108.



## ZABAWKI NORYMBERSKIE

Moje zabawki małe, moje zabawki drobne,  
Zabawki Norymberskie mają tajemne ruchy,  
Mają małeńkie serca do mego niepodobne,  
I takie są bezszumne, jak cienie i jak auchy,

Zabawki Norymberskie są ciche i pobożne,  
I modlą się, gdy dzwony biją na Anioł Pański, —  
Zabawki Norymberskie miewiają sny ostrożne,  
I w snach tych zawsze tęsknią do Nocy Świętojańskiej.

A gdy ta noc się zbliża, już słyszę o północy  
Ich oddech zatajony i niecierpliwie nóżki  
Do ruchu obudzone zakłębem dziwnoju mocy,  
I czuję mych przyjaciół na brzegu mej poduszki.

Mą pościel oplatają rękę połączonych sznurem,  
Nie mogą się doczekać, kiedy mój sen się prześni,  
I pragnąc mnie obudzić — śpiewają dla mnie chórem  
Rodzinnej Norymbergi najulubieńsze pieśni.

Mam dla zabawek małych przyjęcie zabawkowe:  
Przez całą noc roznosi lokajów moich garstką  
Na srebrnych talerzykach paciorki kolorowe,  
I ciepłą wodę z cukrem przelaną do napaistka.

Smakuje mym zabawkom potrawa paciorkowa,  
A gdy je woda z cukrem upoi i podnieci,  
Językiem śpiewnym mówią niezrozumiałe słowa,  
„Er“ wymawiając śmiesznie, tak jak dwuletnie dzieci.

Mam pośród nich kochankę, co posiadał moje serce,  
O, jakżeż mnie upaja wilgotnych ust pieściznami!  
Kochanek mój jest mały, i mieszka w tabakierce,  
I wziął mnie w swoje lenno z dukatowego złota.

„Kri-kjolla“ — mówi do mnie, co znaczy: „bądź kochana“,  
I mówi do mnie „tir’ju“, — co znaczy: „usta pochyl“,  
Na dłoni mojej leży i pieści ją do rana,  
I jego pocałunki są dla mnie jak alkohol.

Jam jego duch łaskawy, jam jego dobra wróżka,  
Więc mnie do zamku swego kochanek mój zaprasza,  
Lecz w zamku mogę zmieścić zaledwie pół paluszka,  
Ach, gdzież się tedy spełni gorąca miłość nasza?

Przez czarne szyb kwadraty spoglądam w przestrzeń ciemną,  
Ponury świt rozpaczą zalewa moje serce:  
Oto zabawki biegną, by się pożegnać ze mną,  
I zająć swoje miejsca na chińskiej etażerze.

A potem zamierają w ciał metalicznym chrzeście,  
Trwam sama pełna smutku i niepochwytnej cierpień,  
Noc Świętojańska mija i mija nasze szczęście  
I nasz gorący czerwiec, a potem ltpiec, sierpień...

Jesienne mgły rzucają na oczy me zasłone,  
Zabawki Norymberskie są małe i milczące,  
Już nie wiem o czym myślą i czego pragną one,  
I czasem tylko dzwonią, gdy dłonią je potrącę.

Zabawki Norymberskie są ciche i pobożne,  
I modlą się, gdy dzwony biją na Anioł Pański, —  
Zabawki Norymberskie miewiają sny ostrożne,  
I w snach tych zawsze tęsknią do Nocy Świętojańskiej.





JANINA TUMIŃSKA

## MÓJ PRZYJACIEL SZEWC



przykrością zauważyłam, że buciki moje wymagają naprawy. Ani rozdarła suknią, ani jakkolwiek inny brak w garderobie nie przejmują mnie takim niepokojem i obawą jutra—jak zniszczony bucik. Rysa na nowym lakierku, skórka zdarta na nosku wprawiają mnie w stan nerwowego zniecierpliwienia

i psują humor na cały dzień.

Prócz głównego powodu, — że są tak drogie, — wielką rolę odgrywają w tem reminiscencje dzieciństwa. Ojciec mój bowiem miał zwyczaj ubolewać za każdym razem, gdyśmy z rodzeństwem włożyli nowe żółte trzewiczki.

— O, już wykrzywiłaś obcasy! Co to? Noski zupełnie podrapane! Na nic buty! Za miesiąc trzeba nowe kupować. Zobaczycie, będziecie boso chodzić.— Gdy nas ostrzegano przed nieuctwem: „bo będziecie gęsi paść“, ojciec dodawał zwykle: „boso“.

Boso — symbol ostatniej nędzy. Wychowywałam się w czasach, gdy nie hartowano jeszcze dzieci, tak jak obecnie, a przytem ciągle kaszaliśmy i bolały nas gardła, więc przez całe lato biegaliśmy w bucikach i grubych pończoszках w prążki.

Wyraz „boso“ przerażał nas. Przecie na ścieżkach kłuje, i pokrzywy parzą. Nie można boso przedzierać się przez gąszcze leśne, ani biegać po rżysku. A najgorzej w zimie. Nie byłoby do czego łyżew przykręcić. Już lepiej nago, niż boso.

Dziś, gdy wiem, że nikt mi nowych co miesiąc nie kupi — kwestja bucików jest jeszcze drażliwszą. Jest to kwestja spokoju i pewności siebie. Buciki moje wymagają naprawy i to zaraz, dziś.

Zawinęłam je w papier, włożyłam na nogi prunelki i wyruszyłam na miasto. Mieszkałam odniedawna w okolicy placu Napoleona i nie znałam żadnego szewca w tej dzielnicy. Nie spytałam o niego nikogo przez pośpiech i lenistwo. Lubię zresztą sama wyszukiwać sobie nadwornych dostawców. Z placu wyszłam na ulicę Moniuszki, a potem skręciłam na Jasną, oglądając uważnie szyldy i wystawy sklepowe. Jest! Zakład szewski, wciśnięty pomiędzy mydlarnię a sklep z „produktami wiejskimi“. Szyld z wymalowanym na nim pantofelkiem damskim wzbudził we mnie zaufanie. Na progu stał mały człowieczek, zapatrzony filozoficznie na mur przeciwnego domu, ale gdy zatrzymałam się przed nim, cofnął się z pośpiechem i uprzejmym ruchem zaprosił do wnętrza. Pustka wiała ze wszystkich kątów. Ani warsztatu, ani zgarbionych czeladników w brudnych fartuchach, ani białych długich pudełek, ani jednego kopyta lub kawałka skóry nigdzie. W jednym kącie stał stołek, a w drugim paka na węgle z wyczernionym dnem.

— Ma pracownię gdzieindziej — pomyślałam i rozwinęłam pakunek.

— Zelóweczki, proszę pani — rzekł gospodarz, wzięwszy z rąk moich buciki i obejrzawszy je z godnością — dobrze, robi się elegancko. Pani raczy usiąść — podsunął mi stołek z kurtuazją.

Przyjrzałam mu się. Miał czerwono-siny nos, jasne, rzadkie wąsiki, małe załzawione oczka i dworne maniery.

— Tylko proszę mi po prawić dobrze i prędko. Ile będzie kosztować? — spytałam.

— Zakład mój jest, proszę pani, pierwszorzędny, ale ceny przystępne. Pięć tysięcy mareczek za zelóweczki. Nie lubię obdzierać klientów ze skóry. A co do roboty, łaskawa pani może być spokojna. Nie jestem żaden partacz z tych, co się ich tyle namnożyło po wojnie. Przed wojną, ho, ho! Kaweckiej buciki się robiło. Siedział sobie człowiek z żoną na „Wesołej wdówce“ albo na „Krysi Leśniczance“ i oglądał, jak tam jego pantofelki paradują i fikają na scenie. Teraz to świat skapcaniał i niema dla kogo się mitrzyć. Ale co stary szewc, to stary. Pani się przekona, proszę się pofatygować za parę dni.

— Dobrze, dowidzenia — wstałam i skierowałam się ku drzwiom. Szewc w pokornej postawie zagroził mi drogę.

— Poproszę łaskawą panią o 3 tysiące mareczek na zelóweczki.

— Jaktó — zdziwiłam się — mam płacić z góry?

— To wyjątkowo. Widzi pani, nie mam teraz na składzie takiej skóry, jaka jest mi potrzebna. Byle gdzie jej nie kupię, muszę jechać na Stare Miasto specjalnie, ale zato zelówki wytrzymają cały rok — tłumaczył się, patrząc mi w oczy niespokojnie.

Pomyślałam chwilę, ale wyjęłam te trzy tysiące z torebki i podałam mu. Śpieszyłam się i nie miałam ochoty ani cierpliwości szukać innego szewca.

Wracając do domu wieczorem, spotkałam w bramie stróżkę, i nagle przysłała mi myśl, aby ją spytać o mego nowego znajomego.

— Olaboga, co też pani robiła! Toć to pijak ostatni! Tyle jest wkoło porządných majstrów, a pani dała robotę temu krętaczowi. On i za rok nie skończy, a tylko będzie panią zwodził i jeszcze gdzie buty zaprzepaści. Niech paniusia jutro leci i odbierze, bo to tylko kłopot i marnacja czasu.

— Czy oddawna tu mieszka? — spytałam zaniepokojona.

— Mówią, że już ze trzydzieści lat, ale dawniej to był, mówią, najpierwszy szewc, i dobrze mu się wiodło. Córkę wydał za mechanika i posag dał ładny. Ale jak pochował swoją kobietę, zaczął pić i wszystko zmarnował. Tam u niego golizna, nikt mu teraz już roboty nie daje.

Uczułam się zawstydzona brakiem doświadczenia i łatwowiernością, ale żal mi też było szewca, któremu nikt roboty nie daje.

— Z czegoż więc żyje?

— Abo ja tam wiem, z czego! Ot, wycygani co od córki, albo złapie jakiego frajera, co go nie zna, robotę da i zaliczkę na przepicie.

Nie przyznałam się, że i ja postąpiłam tak nierozsądnie.

Przyszedłam do „zakładu“ w dniu umówionym. Buciki nie były jeszcze gotowe. Zdarza się to przecie i innym szewcom. Ale podczas, gdy inni są często gburowaci i zbywają klienta opryskliwie — pijak okazał się dobrze wychowanym człowiekiem. Nakrył stołek kawałkiem gazety i poprosił uprzejmie, abym usiadła. Wy tłumaczył się jaknajgrzeczniej z niepunktualności absolutnym brakiem towaru, godnego moich bucików, a następnie rozpoczął towarzyską rozmowę. O pamiątkach na Starem Mieście, o wzruszeniu, jakiego doznaje, przechodząc obok cytadeli, gdzie brat jego, pepeesiak, „wsiąkł“ za Moskali. Potrafił o Ki-

kiego doznaje, przechodząc obok cytadeli, gdzie brat jego, pepeesiak, „wsiąkł“ za Moskali. Potrafił o Ki-





lińskiego i inne postacie, związane z historją Warszawy.

Próbowałam parę razy powstać z miejsca, ale za każdym razem prosił mnie, abym się zatrzymała jeszcze na chwilkę, dając mi tem do zrozumienia, że towarzystwo moje jest mu miłe, i nie pragnie się go czempredzej pozbyć ze względu na drobnostkę — buty.

— Jak to miło, kiedy kto tak zechce pogadać z człowiekiem — rzekł na pożegnanie, otwierając szeroko drzwi swego s lepu, a o buciki niech się pani nie martwi, będą gotowe.

— Będą — nabrałam otuchy — szewc, który tak się zachowuje względem klienta, ma dobrą wolę i nie chce go oszukać.

W parę dni później zaszłam znowu. Tym razem była mowa o polityce.

— Polityka to taka wielka trąba, w którą my wszyscy dmiemy. Wszyscy razem, a każdy chce najgłośniej, i stąd taka muzyka. Gdyby tak jednemu pozwolili, to możeby było czego posłuchać.

— A kto to taki ten jeden? — spytałam ubawiona.

— Nie można wszystkiego odrazu powiedzieć, proszę pani, do czasu, do czasu. Jedno powiem łaskawej pani — musi być król. Oho, znam ja arkana polityki, znam.

— Ale do tego czasu buciki moje będą gotowe? — przerwałam mu wywody — zima nadchodzi, a ja chodzę w prunelkach.

— Stokrotnie przepraszam, ja sam się martwię, ale jeszcze ze dwa dni musi pani darować. Po niedzieli, myślę, już będę mógł wykończyć. —

Zaczęłam jednak tracić nadzieję. W domu żartowano ze mnie niemiłosiernie, praktyczny mój brat ofiarowywał się pójść i rozprawić się z „krętaczem“, a mnie ogarniała nieraz taka złość i rozpacz, że postanawiałam w duchu nawymyślać mu i buty odebrać, rezygnując z zaliczki. Ale za każdym razem pokorna postawa, zalęknione, bezradne spojrzenie i towarzyska rozmowa czyniły mnie bezsilną.

Wszystkiemu winna była drożyzna.

— Co to się dzieje, proszę pani! Każdy szczegół fruwa do góry. Stargowałam skórę już tydzień temu, a wczoraj hurtownik podniósł cenę o 30%. Zaciąłem się, że mu nie dam ani grosza więcej i stąd taka zwłoka. Zaciąłem się — bo nie znoszę takiego zdzierstwa. Klienci się odstraszą — ludzie bez butów zacząć na chodzić!

Przychodziłam do sklepu co parę dni, ale tylko po to, aby mieć spokojne sumienie, że nie zaniedbuję tej sprawy.

Raz mówił mi o swojej kobiecie.

— Jak się to nosiło z pychą po mieszkaniu, a rezonowało od rana do wieczora, a harmiderowało swemi garkami, to człowiek myślał, przepraszam panią, że to taka głupia, najgłupsza w świecie rzecz; a jak jej nie stało, to cały świat wydaje się głupi. Kobieta to jest jak ta obręcz na beczce. Jest, to się beczka trzyma kupy, a niema, to wszystkie klepki się

rozlatują w różne strony, i rady na to żadnej nie znaleźć.

— Kobieta, to jest — czerwony nos mu pociemniał, wąsiki się nastroszyły, mętne oczka załzawiły jeszcze bardziej — kobieta, — ot co pani powiem.

Nie poruszaliśmy tego dnia drażliwej kwestji butów.

Przestałam się wkońcu o nie dowiadywać; zdołałam się na kupienie nowych, co znacznie osłabiło zainteresowanie dla starych, a przytem byłam bardzo zajęta.

Szłam raz wieczorem ulicą Jasną i już skręcałam na Sienkiewicza, gdy ktoś zabiegł mi drogę. Poznałam swego szewca. Kłaniał mi się w pas, niezmiernie czemś uradowany.

— Proszę wielmożnej pani, — mówił zdyszany głosem — buciki wielmożnej pani już gotowe. Od kilku dni czekam na panią i wyglądam na ulicy, a teraz jak zobaczyłem zdaleka, to zaraz poznałem i leczę, żeby dopędzić. Gotowe — buciki.

— Nie może być! Naprawdę? — nie wierzyłam własnym uszom.

— Gotowe! Niech wielmożna pani pofatyguje się ze mną i zobaczy.

Popędziliśmy razem do sklepu. On wrywał naprzód, jak gazeciarz, ja — za nim.

Były gotowe. Stały na honorowym miejscu na stołku, podzielowane, wyczyszczone, błyszczące.

— Niech pani obejrzy, jaka solidna robota i delikatna, co? Ja już wiem, jak dogodzić takiej pani! Nie będzie pani narzekała na starego Błażka. Wiktor Błażek — to nie żaden oszust, ani wydrwigrosz, nie! I wie, co się komu należy, oho!

Kręcił się po sklepie, szukając nadaremnie po kątach kawałka papieru do opakowania.

Zapłaciłam mu za robotę.

— Niech pani łaskawa chwilę poczeka, zaraz przyniosę z kiosku kurjerka. — Wrócił po chwili z gazetą i starannie owinął buciki. — Żeby wyglądało przyzwoicie, jak pani będzie szła przez miasto. — Brakowało jeszcze sznurka. Wyciągnęłam z kieszeni kolorową papierową wstążeczkę wraz z pustą torebką od landrynek, i razem zwiżywałam paczkę. Wstążeczka rwała się co chwila, pan Błażek jej dogadywał, ale udało się nam wkońcu zawiązać węzełek.

— Niech pani szczęśliwie znosi. Polecam się łaskawej pamięci — mówił, kłaniając się nisko i przytrzymując drzwi jedną ręką. — Niech Bóg da pani dobrego męża. —

Ujął mnie bardzo tem ostatniem życzeniem. Nie mogłam wprawdzie pozwolić sobie na to, aby mu dawać stale buty na przechowanie, ale od czasu do czasu wybierałam parę, niezdatną prawie do użytku i dawałam mu ją do naprawy, wraz z niewielką zaliczką.

Pan Błażek ubolewał, że wielmożna pani musi donosić takie stare, zniszczone buciki, i zapewniał, że gdyby nie stara znajomość, nigdyby się taką robotą „nie parał“.





PAOLO MANTEGAZZA

14

## JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

Emma do Williama

Londyn, 17 lipca 18...

A zatem, mój drogi Williamie, dla miłości naszej trzeba, byśmy się rozstali. Wyjeżdżam na Maderę, żąda tego również dawny lekarz mojego ojca. Od wielu lat mieszka on w zaciszu willi swej w Brompton; wczoraj odwiedziłam go wraz z ciotką Anną. Nie widziałam go już sporo czasu, lecz od ciotki wie on wszystko; jak ci wiadomo, jest on naszym doradcą w każdej ważnej sprawie. W nim żyje jeszcze iskra życia i myśli mojego ojca.

Nie mogę patrzeć nań suchym okiem, a gdy przemawia do mnie, pełen spokojnej pogody i łagodnej życzliwości, jestem do głębi wzruszona. Ma przeszło lat osiemdziesiąt, lecz obce mu jest wszystko, co czyni starość przykrą i uciążliwą dla innych. Lata obdarzyły go tylko pobłażliwością bez granic, nadając jego obliczu niezmacony uśmiech.

Gdy przybyliśmy do Brompton, znajdował się w ogrodzie, zajęty oglądaniem jakiegoś krzewu róż. Zobaczywszy mnie, wyszedł na spotkanie i objął, jak córkę, a potem wprowadził nas obydwie do gabinetu. Posadziwszy obok siebie, ujął moją rękę i trzymał ją przez jakiś czas w swojej, spoglądając tkliwie i mówiąc tylko: nasza Emma, nasza kochana Emma.

Opowiedziałam mu o swych wizytach u trzech, wycroczni medycyny angielskiej, on zaś potakiwał mi z uśmiechem.

— Tak, tak, droga Emmo, musisz jechać na Maderę, musisz pozostać tam przez parę lat, dopóki nie poprawisz się zupełnie. A potem trzeba powrócić do Anglii, ażeby poddać próbie odzyskane zdrowie i jeśli w ciągu dwóch zim tutejszych nie będziemy mieli kaszlu ani kataru, jeśli nabierzemy nieco ciała i sadełka, wówczas Emma uczyni ostatnią spowiedź przed starym doktorem Thomem, a ten udzieli całkowitego rozgrzeszenia i pozwoli na małżeństwo z Williamem. No, czy dobrze?

— Drogi doktorze, oby pańskie słowa były święte, oby zostały usłyszane przez mojego biednego ojca.

— Tak, twój ojciec nas słyszy; i gdy w jego imieniu powiem ci: możesz poślubić Williama, uczynisz to z spokojnym sumieniem, żeś nie sprzeniewierzyła się danemu słowu i złożonej przysiędze.

Nigdy jeszcze doktor nie wydał mi się równie pogodny i piękny. Chciałam go uściskać stokrotnie. Widziałam jasno, że, pocieszając, nie zwodził mnie, że wierzył sam w moje wyzdrowienie, i że będziemy należeli do siebie. I słowa te, wypowiedziane przez usta, dla mnie nieledwie święte, uniosły duszę moją w rajską krainę.

A zwracając się do mojej ciotki zapytał:

— Lecz czy pan William zdoła czekać tak długo, czy potrafi w takiej niepewności żyć przez cztery albo pięć lat?

W tem miejscu zabrałam głos zamiast ciotki i czując, że czerwienię się, jak piwonja, odpowiedziałam pośpiesznie:

— O tak, William będzie z pewnością czekał.

Czy uczyniłam źle, drogi Williamie, obiecując tak wiele, i poręczając za tyle cierpliwości? Zaprzecz mi natychmiast, jeśli tak jest.

— Ale, á propos, — przerwał śmiejąc się doktor Thom, — pan William musi dać słowo, że nigdy nie

pojedzie na Maderę i pozostawi cię tam samą z twym egoizmem (czy znany ci jest egoizm?), oddaną sprawie wyzdrowienia. Ostatecznie, jeżeli chcesz być zdrową, to dla niego, tylko dla niego.

Powtarzam ci tu, jak umiem, naszą rozmowę, lecz jestem pewna, że dodaję niejedno, co nie było powiedziane. Byliśmy we troje, lecz rozumieliśmy się z półsłówek, a gesty i uśmiechy więcej tam ważyły niż słowa.

— Przyślę ci do Londynu zeszytik, który zabierzesz z sobą na Maderę; będzie to twój poradnik lekarski, przemiełnie napisany. Dołączę też list do swego przyjaciela, doktora Southeya, lecz to tylko na wypadek niedyspozycji, a mam nadzieję, że to nie nastąpi nigdy w tym błogosławionym klimacie. A z kim udasz się na Maderę?

— Ze mną — odparła ciotka Anna.

Jakże żałuję, żeś nie był obecny podczas tej sceny, mój Williamie, żeś nie mógł słyszeć, ile dobroci tało się w akcencie naturalnym i tkliwym, z jakim ciotka wypowiedziała te słowa: ze mną. Dobroć jej jest tak głęboka, tak równomierna w swej łagodności i tak stopiona wewnątrz z jej charakterem, że mijają dnie i miesiące, a mnie nie zdarza się wprost pomyśleć, że ona jest dobra. To niebo wiecznie błękitne, i potrafi ocenić je ten tylko, kto w innych krajach widział mgłę, deszcze i huragany.

A doktor Thom, wzruszony tą wzniosłą prostotą, rzekł z uśmiechem gorącej wdzięczności:

— Pani jest ciągle tą samą Anną, co nieomal przed pół wiekiem: czas nie potrafił zaszcześcić pani ani odrobiny egoizmu. Zatem sprawa skończona. Przyjadę sam do Londynu z pożegnaniem, a ty, Emmo, postaraj się zobaczyć jeszcze moją nową cieplarnię: pokażę ci wiele roślin, które trzymam uwięzione, podczas gdy na Maderze ujrzysz je kwitnące pysznie pod gołym niebem. Obejrzyj ją koniecznie: dostałem niedawno solanum z Brazylii rzadkiej piękności. W Anglii tylko ja i książę Devonshire posiadamy taki okaz.

Pozostałyśmy w Brompton jeszcze przez jakąś godzinę, lecz wyznam ci, że pośród szpalerów ogrodu i w gorącej atmosferze cieplarni doktora myślałam ciągle o tobie i o Maderze, i snem wydawał mi się ten nowy okres życia, jaki mam rozpocząć. Nadzieja i obawa, lęk przed nieznanem i uczucie ku tobie tak gwałtowną w sercu mem toczyły walkę, że jak przez mgłę słyszałam co do mnie mówiono, nie rozumiejąc słów, i nie wiedziałam, gdzie się znajduje.

Przyjdź do mnie, Williamie. Teraz musimy widywać się codziennie, póki jestem jeszcze w Anglii. Zbyt prędko, niestety, przedzieli nas ocean na miesiące i lata.

Williamie, jedyny mój Williamie, Emma oczekuje cię.

William do Emmy

Londyn, 9 sierpnia 18...

Obiecałaś mi, Emmo, że list ten zabierzesz z sobą i przeczytasz dopiero na Maderze. Cząstka mej istoty będzie towarzyszyła ci w drodze, a ledwie wylądujesz w obcym kraju, słowa moje będą ci powitaniem. Och, czemuż nie mogę zawrzeć w tej szczęsnej kartce siebie całego? Czemu wyobraźnia ludzka, która stworzyła duchy, widma i zjawy, nie ma mocy przetwarzania żywych postaci w owe zjawy niewidzialne? Czemu



myśl wybiega zawsze dalej niż ciało, i między nią, a czynem taki istnieje rozdźwięk?

W owym liście duch mój pozdrawia cię, Emmo, i pragnie, aby wyspa, na której postawiłaś stopę, była dla cię rajskim ogrodem, aby ta ziemia błogosławiona dała ci zdrowie, spokój i radość. Ja będę miał odwagę pokochać tę wyspę, która na tyle czasu odebrała mi moją Emmę, będę umiał błogosławić ją. A ty wyгнаłaś mnie ze swej wyspy, jak Bóg wypędził naszych prarodziców z raju, i nie pozwoliłaś mi odwiedzić się ani razu, ani godziny.

Pośród tej boleści mam wielką pociechę. Jestem pewny, że na Maderze będzie ci brak czegoś, brak tego wszystkiego, czego i mnie. Ani powietrze balsamiczne, ani kwiaty i roześmiane doliny, ani dobroć twojej ciotki Anny nie zdołają wypełnić tej pustki. Biada mi, jeśliś była na Maderze zupełnie szczęśliwa!

Widzisz, Emmo, ja zbyt cię kocham i tak się pysznie swą miłością, że nie pomyślałem nigdy o tem, bym mógł być zazdrosny o innego mężczyznę. I któż, zuchwały, kochałby cię tak, jak ja? Jakie światło ośmieliłoby się błyszczeć wobec słońca naszej miłości? Czy miałby kto prawo rzec z podniesionem czołem: kocham Emmę więcej niż William? Nie jestem więc zazdrosny o nikogo; ale twój William zazdrosny jest natomiast o przyrodę i o całe to piękno, jakie cię otacza. Lękam się zawsze, że spoglądając na lazur morski i na gwiaździste niebo, że błądząc pośród wonnych łąk kwiatnych, kierujesz ku nim myśl miłosną, w której niema miejsca dla mnie. Ty tak kochasz piękno!

Słyszałem niejednokrotnie, jak mówiłaś długo i namiętnie o jakimś motyłu lub o pokrytej mchem pieczarze. Pamiętam jak rozprawiałaś z entuzjazmem

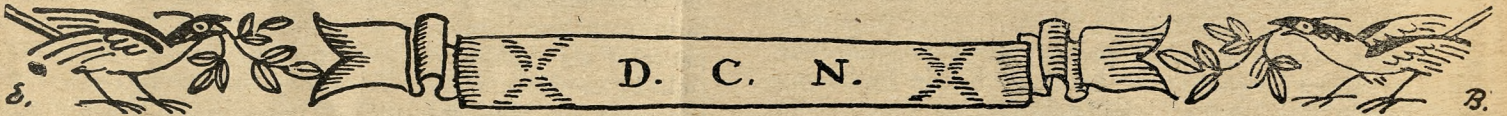
o dębie, owiniętym bluszczem, który oglądaliśmy razem w ogrodach w Keor. Otóż, moja Emmo, jesteś w kraju sto razy piękniejszym od Anglii, piękniejszym, jak powiadają, od Italji, i jam jest zazdrosny o Maderę.

Czego nie czytałem w ostatnim tygodniu o twojej wyspie! I na szczęście swoje nie mogłem dostać w Londynie wszystkich dzieł, traktujących o Maderze: mogę jeszcze nagabywać swego księgarza, mogę jeszcze oczekiwać nowych książek ze Stanów Zjednoczonych, z Niemiec, z Portugalji: Kazałem zrobić, podług własnego rysunku, małą biblioteczkę, gdzie umieszczę tylko książki, dotyczące twojej wyspy.

Wiem już jednak, że to wyspa kwiatów, że heljotropy kosi się tak jak owies, gdyż zagłuszyłyby pola, wiem, że przechadzki odbywa się w cieniu „męczennic“, że gaje pełne są laurów i wrzosów na wysokości człowieka. Ty, co tak je lubisz i widziałas w naszych cieplarniach okazy karłowate, będziesz mogła zagubić się w gajach erica arborea.

Pierwsza więc myśl Williama, napotkana na wyspie, będzie przepojona zazdrością, ogromną zazdrością o tę piękną naturę, która — kto wie na ile miesięcy, — weźmie Cię w posiadanie, o wszystkie te kwiaty, które upoją Cię swą wonią. Jakże zimne i szare wydadzą ci się moje listy, przesiąknięte naszą mgłą angielską! Z jakim współczuciem pomyślisz o nas, żyjących przez pięć miesięcy w roku pośród bezlistnych drzew i łąk bezkwiatnych!

Widzisz, moja Emmo, zanim rzucisz się w objęcia tej pięknej przyrody, dotąd tylko przeczuwanej, teraz zaś otaczającej Cię, musisz przyrzec mi jedno. Przyrzeknij, że we wszystkich Twych zachwytach dla Madery, że w każdym kwiatku znajdzie się jakieś miejsce i dla mnie. Tylko wtedy będę mógł również polubić Twoją wyspę.



GUSTAW KALEŃSKI

## NA MARGINESIE „GARŚCI WSPOMNIENI Z 1863 R.“

SPRAWA CEZARJI FALKOWSKIEJ.



szczęśliwe losy sprawiły, że akta komisji śledczych i sądów polowych z okresu powstania styczniowego, ongi niedostępne dla historyków a wywiezione do Rosji czasu wojny światowej, niedawno powróciły do Polski. W aktach tych, znajdujących się w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie, odnalazłem

akta sprawy matki Autorki „Wspomnień“, Cezarji Falkowskiej<sup>1)</sup>.

Sprawa jedna z tysięcy — o udział w powstaniu. Przecież wyróżnia się ona z powodzi innych przez osobliwe swoje koleje. Początek błądy, później sprawa przechodzi wciąż nowe perypetie, stopniowo pogarsza się coraz bardziej, aż spada na oskarżoną kara, po karze śmierci najwyższa — osiedlenie na Syberji. Nakoniec sytuacja zmienia się na lepsze.

Falkowska aresztowana była dn. 20 stycznia 1864 r. z powodu braku dokumentu osobistego, w okolicz-

nościach, opisanych przez córkę. Zaprowadzono ją po aresztowaniu na kwaterę oficera rosyjskiego; tam podała fałszywe nazwisko: tam też nastąpiło dramatyczne spotkanie matki z córką, które udawały, że nie znają się wcale. (Oficer w raporcie swoim mówi, że Falkowska powiedziała, iż córkę widzi po raz pierwszy w życiu, a potem za jego plecami, sądząc, że on tego nie dostrzeże, „robiła pantominę“. Dopiero nazajutrz dowiedział się, że to córka i matka, i jak się naprawdę nazywa.

Wina Falkowskiej polegała dotychczas na braku paszportu i podaniu fałszywego nazwiska. Wypuszczono ją na wolność za kaucją.

Aliści chłopci ze wsi Osowa, dowiedziawszy się, że wieś sąsiednia ma być skazana na zapłacenie kon-

<sup>1)</sup> Akta Audytorjatu Polowego z r. 1864. (Nr. spisu 1315); Dzieło o proźniawskiej w d. Plantie żenie gminnego wojta Cezarji Falkowskiej, suźdionnoj za ucześnie w mianieze.



rybucji za zbiórkę pieniędzy na powstanie, donieśli na Falkowską, że zmuszała chłopów do ofiar pieniężnych na cele powstania i groziła śmiercią, jeżeli ktoś nie będzie wykonywał rozkazów Rządu Narodowego.

Sprawa Falkowskiej idzie do komisji śledczej w Radzyniu.

Nic dziwnego, że pierwsze jej zeznanie z dn. 19 marca przed tą komisją kreślone jest drżącą ręką, choć męskim prawie charakterem pisma. Oto prowadzi badanie znany z surowości pułkownik Borozdin, który podejrzewa ją o autorstwo wierszy, bardzo dla niego niepoehlebnych. Dręczy ją los męża, który przebywa w tej chwili daleko, zagranicą. Co się z nim stanie? Co się stanie z dziewiętnastoletnią córką? „Moje winy — pisze — nie są większe od wielu tysięcy kobiet, ale moje nieszczęścia są bez granic. Nie mam już gdzie wracać i poco. Mąż pewno ze zmartwienia umarł, tylko córka, tułająca się bez opieki, potrzebuje matki“. Mimo oczywistego zdenerwowania i przygnębienia, badana broni się zacięciem i przyznaje się tylko do zbierania, na skutek żądań i pogróżek żandarmów narodowych, pieniędzy i bielizny dla rannych. Odpiera zarzuty komisji, dotyczące stosunków z powstańcami i jeżdżenia do obozów powstańczych. Wezwana przed komisję córka, Izabella, tak samo odpiera te zarzuty w piśmiennych zeznaniach.

Wtedy komisja śledcza wzywa chłopów z Osowa. Przychodzi dziewięciu chłopów i zeznaje, że Falkowska trzykrotnie żądała od nich pieniędzy na cele powstania za pośrednictwem sołtysa, mówiąc mu, że najgorszy będzie ze wszystkich sołtysów w gminie, jeżeli wieś jego nie da pieniędzy. Chłopi, w obawie teroru powstańczego, zanieśli jej wreszcie 10 rubli. Zeznają oni nareszcie, że „jacyś panowie“ mówili, że chłopci będą karani śmiercią, jeżeli nie zbiorą pieniędzy albo odmówią podwód.

Badana zaprzecza, jakoby uciekała się do pogróżek przy zbieraniu datków pieniężnych i przyznaje się tylko, że otrzymała pieniądze i kilka sztuk bielizny.

Na zasadzie rezultatów śledztwa, gen. Maniukin oddaje Falkowską pod sąd polowy, zaliczając ją do drugiej kategorii przestępców (członkowie wyższych warstw społeczeństwa, biorący bezpośredni udział w powstaniu). Na sądzie polowym w Siedlcach, który odbył się dopiero w lipcu, Falkowska odzyskuje panowanie nad sobą „Oświadczam, — pisze — że moje zeznania przed panem pułkownikiem Borozdinem były niezupełnie sprawiedliwe, albowiem zeznawałam pod wpływem strachu i bojaźni, jaki pułkownik Borozdin wywierał na aresztowanych“. „Nie miałam do tego (zbierania pieniędzy i bielizny) żadnego upoważnienia ani też przez nikogo nie byłam zmuszana, jak w poprzednim zeznaniu pod strachem pana pułkownika Borozdina napisałam“; pisze, że pułk. Borozdin prześladuje ją, ponieważ mniema, że jest ona autorką jakichś wierszy.

Sąd polowy uznał oskarżoną winną zbierania pieniędzy na zakupno bielizny dla rannych powstańców i podania fałszywego nazwiska, zaliczył ją do czwartej kategorii przestępców (osoby, okazujące pomoc powstaniu) i skazał na dwa miesiące więzienia w kazamatach Dębina. Jak na owe czasy, był to wyrok bardzo łagodny. Gen. Maniukin zaaprobował wyrok, proponując zwiększenie kary do czterech miesięcy kazamat w Brześciu.

Sprawa poszła na rewizję do Warszawy, do Audytorjatu Polowego<sup>2)</sup>. Tu przybrała obrót fatalny. Audytorjat uznał Falkowską winną: a) zbierania pieniędzy wśród chłopów na rzecz powstania przy pomocy pogróżek, że będą karani śmiercią w razie odmowy, 2) jeżdżenia po wsiach bez dowodu osobistego „widocznie w jakimś występnym celu“, 3) podania fałszy-

wego nazwiska, — i wymierzył jej karę niezmiernie wysoka: osiedlenie na Syberji, połączone z utratą praw stanu i konfiskatą mienia<sup>3)</sup>.

Namiestnik hr. Berg wyrok ten dn. 7 sierpnia zatwierdził, ale już dn. 1 września zmienił pierwsiastkową konfirmację, dopisując własnoręcznie do słowa: „Soglasien“ (Zgadzą się), słowa: „s tem, czto by na žitie w otdalonnija guberniji Rosii“ (z tem, aby na mieszkaniu do odległych gubernij Rosji).

Była to ogromna zmiana na korzyść skazanej. Co ją spowodowało? W aktach niema żadnego śladu. Pamiętamy, że autorka wspomnień przypisuje tę zmianę swym staraniom w Petersburgu i podaniu, złożonemu na ręce cesarza.

Maniukin, dowiedziawszy się o zmianie wyroku, wystąpił z wnioskiem do namiestnika, aby nie pozbawiać Falkowskiej praw stanu i nie konfiskować jej mienia. Wniosek uzasadniał tem, że dotychczas konfiskata i pozbawienie praw przywiązane były do kary osiedlenia na Syberji, lecz nie do wysyłki w głąb Rosji. Berg przychylił się do wniosku Maniukina.

\* \* \*

Tyle mówią akta.

Przyznaję się, że brałem je do ręki z niepokojem i ciekawością zarazem: jak wypadnie porównanie „Wspomnień“ z aktami, na korzyść, czy na niekorzyść szanownej Autorki. Czy dopisała jej pamięć po tylu, tylu latach? Stwierdzam, że przy porównaniu akt sprawy Falkowskiej z opowiadaniem jej córki wychodzą na jaw niewielkie naogół różnice.

Najpoważniejsza sprzeczność polega na tem, że matka skazana została na osiedlenie nie przez sąd polowy w Siedlcach, lecz przez namiestnika, na wniosek Audytorjatu Polowego w Warszawie. Tu nadmieniam, że gen. Maniukin, o którym autorka, wyraża się bardzo ujemnie, posądzając go widocznie o skazanie matki, zachował się (bodaj wyjątkowo) w tej właśnie sprawie w ludzki zgoła sposób (obostrzenie kary, orzeczonej przez sąd siedlecki, z dwóch do czterech tylko miesięcy i wniosek niepozbawiania Falkowskiej praw stanu i mienia).

Akta nie rzucają, jak widzimy, żadnego prawie światła na rolę córki w powstaniu. Za to poznajemy, dzięki nim, sylwetkę matki. Stawiona przed komisją śledczą, później przed sądem polowym, osamotniona, więziona, dręczona niepokojem o los męża i córki, dzielna kobieta broni się zacięciem i nie upada na duchu. Nie dziwny się, że umniejsza swój udział w powstaniu: po wsze czasy była to stała taktyka „przestępców politycznych“. Zwróćmy raczej uwagę na to, że niema w tych zeznaniach skarg na powstanie, zwalania winy na innych, błagań o przebaczenie. Zeznanie, złożone przed komisją śledczą, że działała pod wpływem pogróżek powstańców, odwołuje na sądzie polowym. (Kto wie, czy ta postawa pełna godności nie spowodowała bezwzględnego wyroku Audytorjatu Polowego?). Była to już połowa roku 1864 — zupełny upadek powstania. Iluż mężczyzn załamało się wtedy podczas indagacji, a ta kobieta odważnie swoim prześladowcom stawia czoło.

Umieściwszy poprzednio wspomnienia córki, niniejszą relacją hołd składamy pamięci jej matki, jednej z tysięcy kobiet, do niej podobnych, bezimiennych, zapomnianych szermierzy sprawy narodowej w roku 1863.

<sup>2)</sup> Wyższy sąd wojskowy.

<sup>3)</sup> Osiedlenie na Syberji (z reguły dożywotnie), stosowano do kobiet w tych wypadkach, gdy do mężczyzn stosowano ciężkie roboty (katorga).



# POCZĄTEK SEZONU MUZYCZNEGO

DWIE UROCZYSTOŚCI: ODSŁONIĘCIE POMNIKA CHOPINA <sup>1)</sup> I 25-LECIE FILHARMONJI.—OPERA

Na progu niemal tegorocznego sezonu muzycznego stanęły dwa uroczyste święta muzyczne. Można je nazwać świętami muzyki polskiej wogóle, nietylko miejscowemi, warszawskimi. W obu nastroj uroczysty nie jest wolny od kropli gorzkości.

Największy geniusz muzyczny polski, a jeden z największych twórców świata—Chopin, doczekał się zaledwie w 77 lat od śmierci na obczyźnie uczczenia przez naród, przez społeczeństwo, do którego należy, uczczenia, w odpowiedniej skali. Prawda, że święcono w r. 1910 setną rocznicę jego urodzin. Wówczas powstał pomysł wzniesienia mu w kraju pomnika, widomego znaku jego wartości, jego znaczenia dla kultury narodowej. Trzeba było szesnastu lat czasu, zanim myśl oblekła stę w ostateczne kształty realne. Przytem trzeba i to przypomnieć, że jestto, nie licząc skromnego popiersia na plantach krakowskich, — pierwszy pomnik Chopina w Polsce. Nie można więc powiedzieć, aby kult Chopina, tkwiący przecie najgłębiej w duszy jednostek, — nietylko w Polsce; na całym świecie — znalazł dotychczas należyty wyraz zewnętrzny, powszechny, taki, jaki przyzwyczajeni jesteśmy widzieć u narodów innych.

A prochy geniusza narodowego dotychczas spoczywają zagranicą! I tylko jeden z zagranicznych jego najgorętszych wielbicieli (Edward Ganche, paryski krytyk muzyczny) umiał podnieść doniosły głos, aby te szczątki śmiertelne nareszcie sprowadzić do kraju i umieścić tam, gdzie ich miejsce właściwe, t. j. na Wawelu. A miejsce urodzenia Chopina (Żelazowa Wola), dom, w którym spędził dzieciństwo, i w którym niewątpliwie osadzały się w jego duszy pierwsze, podstawowe warstwy jego przeżyć, źródło pierwotne jego najcudowniejszego natchnienia, — stało się siedzibą poczciwego kmiotka i jego chudoby gospodarskiej; rzecz — również gdzieindziej — niedopomyślenia.

Ale tak właśnie dzieje się u nas z muzyką, na każdym jej polu specjalnem, oczem świadczy drugi przykład jaskrawy: smutne dzieje Filharmonji Warszawskiej i dobitne memento, jakim powinien się stać jubileusz dwudziestopięcioletniego istnienia tej instytucji.

Wracam jeszcze do obchodu szopenowskiego w dn. 14 listopada. Wzruszającym był szczególnie jeden moment: udział w nim całego kulturalnego świata europejskiego i — z poza Europy — Japonji <sup>2)</sup>. To kwiat narodów kulturalnych składał głęboki hołd geniuszowi, któremu muzyka świata zawdzięcza podwaliny późniejszego po nim rozwoju, a miliony serc ludzkich, na całym świecie, — chwile najgłębszych i najczystszych rozkoszy duchowych. Dlatego wierzę silnie, że tym razem wieńce, złożone u stóp Chopina, słowa czci i miłości, nadesłane zdaleka (n. p. piękne słowa Mussoliniego) nie były tylko zwykłym frazesem grzecznościowym, przystosowaniem się do dyplomatycznej potrzeby. Swoją wymowę posiadał jeszcze jeden szczegół uroczystości: zgodne sąsiedztwo u stóp geniusza muzycznego i połączenie się w uwielbieniu dla niego — kilkudziesięciu narodów. Był w tem symbol znaczenia muzyki, sztuki, jeszcze dotychczas w Polsce niedocenianej należycie.

\* \* \*

Dzieje Filharmonji warszawskiej, która słusznie skorzystała z jubileuszowego swego roku, aby się

społeczeństwu przypomnieć i, przynajmniej na chwilę, żywiej je sobą zainteresować, są doprawdy specyficznego rodzaju — przepraszam za wyrażenie może zbyt silne — martyrologją. Martyrologją i tego znacznego zespołu ludzi, który, z zaparciem się siebie, z istotnem niejednokrotnie, poświęceniem swego zwykłego, powszedniego i doraźnego interesu materialnego, zapamiętale oddawał się sztuce w naszym społeczeństwie niewdzięcznej, i podtrzymywał wąty płomyk polskiej muzyki symfonicznej, często, często już, już prawie gasnący; i martyrologją samejże kultury muzycznej. Interesujące jest pod tym względem sprawozdanie, które przygotował zarząd koncertów symfonicznych i rozdał w przededniu obchodu. Ciekawe szczegóły zawiera też dawniej już wydana broszura W. Dłutowskiego p. t. „Rzut oka na sprawy muzyczne w Polsce (w Warszawie)“. Z tych publikacyj okazuje się, że powodzenie swoje w pierwszych latach istnienia Filharmonji warszawska zawdzięczała — modzie. Modnem przez kilka lat było dla ówczesnej plutokracji i arystokracji rodowej dawać sobie rendez-vous na wielkich koncertach symfonicznych w Filharmonji.

Dopóki trwał ten „smak“ towarzyski, dopóki to należało do dobrego tonu, — dopóty powodziło się Filharmonji dobrze. Gdy sala Filharmonji, jako rodzaj modnego salonu, wyszła z użycia, zaczęły się ciężkie, coraz cięższe czasy. Kilka razy podtrzymali byt instytucji ludzie bogaci, dobrej woli — wyjątki, i dlatego godzi się ich wymienić po nazwisku: Władysław Lubomirski, Leopold Kronenberg. Ale tej dobrej woli nie starczyło nigdy na zbyt długo i wówczas przez dłuższe okresy czasu cały ciężar instytucji dźwigała na swych barkach sama orkiestra i związana z nią dyrekcja. Od paru lat jest tak i obecnie. Symptomatyczny jest przytem stosunek do Filharmonji — miasta Warszawy i rządzących miastem organów. We wszystkich, oddawna, publikacjach i oświadczeniach Filharmonji, apelujących czy to do społeczeństwa, czy do władz, stale odzywa się wciąż ta sama nuta żalu i słusznej pretensji do miasta, że się o byt jednej z najpoważniejszych swych instytucji kulturalnych nie troszczy, że nie spełnia jednego ze swych najgłówniejszych obowiązków wobec kultury. Niewiększe jest zresztą i zainteresowanie Rządu. Jeszcze u nas z muzyki uznaje się za godne przedewszystkiem poparcia tylko to, — co daje wielki efekt zewnętrzny: operę. Muzyka symfoniczna — niech sobie zamiera powolną śmiercią.

Gdyby artyści, stanowiący zespół orkiestrowy Filharmonji warszawskiej, nie byli do swego warsztatu pracy artystycznej przywiązani, — zespół ten, jedyny w Polsce europejskiej miary zespół symfoniczny, byłby się już dawno rozpadł.

<sup>1)</sup> Udziału delegacji innych państw pozaeuropejskich nie zauważyłem.

<sup>2)</sup> Z okazji odsłonięcia pomnika poświęciliśmy Chopinowi, osobny artykuł w Nr. 44 „Bluszczu“.

Do artykułu tego zakradł się szereg błędów drukarskich. Prosimy czytelników, aby zechcieli, przynajmniej najważniejsze z nich, poprawić, jak następuje: na str. 1405 „w 2-iej szpalcie, w. 5 ma być Breithaupt w w. 13-ym ma być, dwukrotnie, „o skończonej wyrazistości, o skończonej oryginalności (zamiast „w“), w w. 15-ym ma być „gdy“, zamiast „gdyż“. Na str. 1406 w szpalcie 2-iej, w. 2 zamiast „...pogody i błękitem“ — ma być „...pogody, błękitem“, w. 3 zamiast „lecz troskliwą...“ — ma być „beztroskliwą...“.



Ale zato „Towarzystwo Filharmonji warszawskiej“, właściciel gmachu i sali, aż do r. 1923 ciągnęło wcale dobre zyski z wynajmu tej sali, a także z procentu od imprezy koncertowej. Zato — magistrat warszawski brał i bierze do dziś dnia, dawniej większy, dziś mniejszy, podatek od biletów koncertowych!...

Dlatego obłądą były pompatyczne słowa, w jakich władze samorządowe i centralne składały życzenia Filharmonji warszawskiej w dniu jej dwudziestopięcioletniego jubileuszu, czyli dwudziestopięcioletniego zmagania się z zupełną obojętnością władz na losy kultury muzycznej. Zamiast słów — reprezentanci Rządu i Samorządu powinni byli wyraźnie przyrzec Filharmonji natychmiastową pomoc materialną; bo inaczej — może ona właśnie w tym roku — znowu nie do końca.

\* \* \*

Początek sezonu zaznaczył się w Operze kilku wznowieniami, i jedną prawieże nowością: operą Pucciniego „Dziewczę z Zachodu“. Wznowiono od bardzo dawna niewystawionego, „Holendra Tułacza“ Wagnera, a z premier ubiegłego roku „Króla Rogera“ Szymanowskiego. Prócz tego pewnej zresztą nieistotnej przeróbce uległ „Pan Twardowski“, balet Różyckiego.

„Dziewczę z Zachodu“ nie należy do momentów żęzyny twórczej niedawno zmarłego wielkiego mistrza włoskiej muzyki operowej. Libretto tej opery z jednej strony jest naszpikowane efektami drastycznymi, na podobieństwo „Toski“ i „Carmeny“, według recepty weryzmu, z drugiej strony, np. w akcie drugim, zawiera miejsca puste, pozbawione akcji; być może zresztą, że reżyserja mogła być takim brakiem zaradzić. Muzyka jest dobrą robotą rutynowanego kompozytora scenicznego i świetnego instrumentatora, ale niema w niej ani śladu natchnienia tej miary, co np. w „Cygankach“ lub w „Madame Butterfly“. Dlaczego właśnie tę operę wybrała dykcja, jako nowość (zresztą już trochę przestarzałą) zasługującą na pokazanie, — niewiadomo.

Jak również niewiadomo, dlaczego zgubiły się gdzieś w zakamarkach lamusa opery warszawskiej „Tristan i Izolda“, „Śpiewacy norymberscy“ Wagnera, „Kawaler srebrnej róży“ R. Straussa „Sprzedana narzeczona“ Smetany i wiele dzieł innych, na których przygotowanie wyłożono w swoim czasie wiele pieniędzy i wiele trudu, — i dlaczego, z pośród rzeczy nowszych lub nowych na europejskim rynku muzycznym, dykcja nie sięga do oper francuskich i niemieckich, np. „Peleasa i Melisandy“ Debussy'ego, dlaczego, — nie czerpie z bogatej twórczości operowej czeskiej, dawniejszej współczesnej. J. R.

## Kobieta w świecie i w domu

### NIEMKI A KWESTJA MIESZKANIOWA

Kwestja mieszkaniowa nie przestaje być sprawą palącą nietylko u nas, ale w całej Europie. Pisałam niedawno na tem samem miejscu o wysiłkach kobiet angielskich w kierunku polepszenia tej sprawy, o budowaniu nowych domów, niektórych przeznaczonych specjalnie dla niezamężnych, pracujących zawodowo kobiet i t. d. Raport z berlińskiej konferencji, zwołanej przez niemiecką Narodową Radę Kobiecą, na d. 9 i 10 października b. r. świadczy wymownie, iż podobna praca prowadzona jest i w Niemczech. Najwybitniejsi uczeni i eksperci niemieccy mówili na tej konferencji o „Domach i schroniskach dla kobiet pracujących zawodowo“, o „Potrzebach i zadaniach obecnego stanu budownictwa domowego“, o „Planowaniu domów z punktu widzenia wymagań gospodarstwa domowego i potrzeb rodziny“, etc. etc.

Wszyscy mówcy zgadzali się na jedno: aby zaradzić obecnemu stanowi rzeczy, który śmiało nazwać można rozpaczliwym, nie wystarczają pojedyncze wysiłki poszczególnych, chociażby najliczniejszych i najbardziej energicznych, jednostek, stowarzyszeń, nawet ugrupowań społecznych i zawodowych. Jedynie radykalnym i skutecznym środkiem naprawy byłaby akcja na wielką skalę, podjęta przez rząd przy poparciu czynników społecznych.

Tymczasem jednak, zanim się uda uzyskać owo zainteresowanie rządu w tej mierze, w jakiej to jest konieczne — kobiety niemieckie postanowiły wystąpić z własną inicjatywą. Utworzył się związek t. zw. „Frau-

enwohnungshilfe“, na czele którego stanęła posłanka do parlamentu, Frau Dr. Hertwig Bünger.

Związek ten, opierający się przedewszystkiem na Zjednoczeniu Saskich stowarzyszeń kobiecych (Landesverband Sächsischer Frauenvereine) opiera swój byt materialny na dobrowolnem opodatkowaniu się jego członkiń i ma na celu popieranie na szeroką skalę budownictwa domów prywatnych dla rodzin i samotnych pracownic zawodowych na zasadach spółdzielczych. Plany Związku są bardzo rozległe, terytorjum jednak jego działalności ograniczać się ma narazie tylko do Saksonji, a dopiero wtedy, gdy jego usiłowania uwieńczone zostaną dużym sukcesem, teren tej działalności ma się rozciągnąć i na pozostałe ziemie Rzeszy niemieckiej.

### NAUCZANIE POWSZECHNE W EGIPCIE

„L'Egyptienne“, pismo kobiet egipskich, podnosi z wielką radością sprawę zaprowadzenia, w najbliższym już podobno czasie, ustawy o obowiązkowym powszechnem nauczaniu w Egipcie. Projekt tej ustawy, opracowany przez Ministerstwo Oświaty, został już przedłożony Ustawodawczej Komisji Doradczej i, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zostanie zatwierdzony.

Pierwszy artykuł tego projektu mówi o zasadniczym celu oświaty i o konieczności walki z analfabetyzmem, tak jeszcze rozpowszechnionym w Egipcie. Drugi — ustala okres nauczania elementarnego na lat pięć i ustanawia, iż nauczanie to ma być bezpłatne



i odbywać stę na koszt rządu. Dalsze artykuły traktują już tylko o kwestjach praktycznych.

Przedmioty nauczania są następujące: Nauka religii według Koranu, język arabski, kaligrafia, nauka moralności, nauka o prawach i obowiązkach obywatelskich, arytmetyka, gimnastyka i roboty ręczne. Ponadto będą także udzielane ogólne wiadomości z zakresu historii, geografii i higieny.

Wielką tę zdobycz w dziedzinie postępu należy niewątpliwie przypisać w znacznej mierze także i usiłowania kobiecym, oddawna już bowiem rozumne i uświadomione społecznie patriotki egipskie nawołują czynniki rządowe do walki z analfabetyzmem naukowym i społecznym klas pracujących. Do wprowadzenia w życie ustawy o nauczaniu powszechnym przyczynią się też bezwątpienia kobiety egipskie, zśród których rekrutować się będzie przeważnie element nauczycielski; dowiadujemy się bowiem z tego samego źródła o zorganizowaniu misji szkolnej, złożonej z szesnastu młodych dziewcząt egipskich w wieku od lat czternastu do szesnastu, która to misja wyjechała w ubiegłym miesiącu do Anglii w celu zapoznania się z tamtejszemi warunkami szkolnictwa powszechnego i wyspecjalizowania się w różnych gałęziach nauk, jako to: pedagogika, higiena szkolnictwa, wychowanie fizyczne, nauki gospodarcze, matematyka i literatura. Studja te mają trwać od czterech do pięciu lat, a po ukończeniu ich otrzymają młode kobiety posady inspektorek i organizatorek szkolnictwa powszechnego.

Z. B.



### TEATR NARODOWY

„Labirynt miłości“ komedia w 3 aktach K. Wroczyńskiego

Ten miłosny labirynt jest tylko na oko zawiły. Wyjść z niego łatwo: autor zostawił wszystkie drzwi otworem i tylko od jego kaprysu zależało zatrzymanie czterech osób, działających na scenie aż przez trzy akty. Od kaprysu autora, powtarzam, nie zaś od żadnej konieczności, którąby warunkowała konstrukcja wewnętrzna tej komedji. Poprostu Wroczyński chciał wobec nas rozmawiać przez trzy akty, choć potrafiliby całą rzecz skończyć w piętnastu minutach. Długoletnia praca dla małych scenek mści się na dziele, napisanem dla sceny dużej, tradycyjnie dużej. Przytem może pewne niezrozumienie własnych możliwości i, co za tem idzie, spór z własnym talentem, któremu się narzuca zadania zbyt obce i zbyt nużące. Tak, to talent się nuży, jak nuży się rasowy koń, użyty, na przykład, do orki.

Pamiętam Wroczyńskiego „Dzieje salonu“—to niby panneau dekoracyjne, malowane szerokimi plamami, pełne doskonałych obserwacji z gatunku obserwacji migawkowych, a więc nieco krótkotrwałych i przelotnych, ale przecież tętniących poczuciem chwili i ostrych w konturach. Pamiętam także poezje Wroczyńskiego, niedgdy przed laty drukowane w Chimerze i innych czasopismach literackich. Namiętne, acz skupione, pełne niespodziewanych często zwrotów o nieokreślonej dostatecznie oryginalności. Było też potem (a może i przedtem?) wiele dowcipnych feljetonów, wiele pracy dla nadscenek i podscenek — robota dobra, kulturalna, potrzebna. „Drei Seelen wohnen in seiner Brust!“ Kto wie — może i cztery?

„Dzieje Salonu“ otworzyły Wroczyńskiemu drogę na scenę i pokazały mu wyraźnie drzwi, któremi zawsze winien wchodzić. Zdaje mi się, że autor „Labiryntu“ nie zupełnie zrozumiał tę wskazówkę, że nieco własne, różnorodne właściwości pomieszał i tym razem przyszedł do teatru z dziełem bardzo niejednolitego pocho-

dzenia. Tem to smutniejsze, że właśnie jednolitość, zwartość, ostry rysunek — zdawały się go szczególnie pociągać.

Zamierzył Wroczyński napisać sztukę, którąby całkowicie wypełniły rozmowy czterech osób. Żadnych niepotrzebnych akcesoryj, żadnych „epizodów“ — nic, tylko czysty dIALOG, trjalog lub tetralog. (Wszystko to zresztą w dobrze wychowanym towarzystwie sprowadza się do dialogu). Ale żeby na samej tylko rozmowie oprzeć sztukę, trzeba dać do tej rozmowy interesujący temat. A i to jeszcze niewystarczy, jeśli na ten temat, będą mówili ludzie bezduszni i bez charakteru. Marjonetki w teatrze wymagają niesłychanej potęgi słowa; postacie ot — takie sobie, pierwsze lepsze, wymagają dowcipów sytuacyjnych. Gdy jednego niema i, zresztą, jak w tym wypadku, zupełnie być niepowinno, gdy i drugiego zabraknie — teatr marnieje, pustoszeje i przestaje być sobą. To grzech

Kiedy się pisze leciuchną komedyjkę, nie należy ani na chwilę zapominać o dobrym smaku i raz na zawsze zapomnieć o „wyższych zadaniach sztuki“, o „konstruktywizmie, jako postulatcie nieodzownym twórczości teatralnej“ i innych tym podobnych wyższych celach. Smak dobry i to bardzo dobry zachował Wroczyński w całej doskonałości. O drugim, niestety, pamiętał. Ten leciuchny, jak pianka, temacik, który stał się pretekstem do napisania miłej krotchwil, zupełnie niepotrzebnie zamknięto w jakiś stalowy gorset aforystycznej konwersacji tak, że wkońcu temacik gdzieś zupełnie się zgubił, a zostało tylko rusztowanie z dowcipów, przeplatanych nastrojem, niezupełnie wystarczające na wesołe spędzenie wieczoru, co było chyba zamierzeniem autora.

Jeden z krytyków warszawskich nazwał utwór Wroczyńskiego fugą, że to, niby, czysta robota kontrapunktyczno-tematyczna, i żadnych efektów nastrojowych przy pomocy harmonji, czy swobodnego rozwijania myśli muzycznej i odpowiedniego jej figurowania — niema. Oczywiście niema też kolorystyki instrumentalnej — choć ta się wcale fudze nie sprzeciwia. Trudno mi się pogodzić ze zdaniem tego szanownego krytyka. Jestem pedantką: sztuka Wroczyńskiego to, co najwyżej, fugato — robota tematyczna nie jest jawnolita: zawiele w niej ułatwień i wykrętów. Kiedy się, na przykład, chciało rozdzielić dwie pary w drugim akcie, kiedy, rozmawiając osobno, rozmawiali jednak razem, można je było poprostu po o b i e d z i e posadzić na dwóch ławkach werendy. Brak dużego stołu i rozdzielanie obiadu na dwa stoliki dziwne jest w domu aż tak bogatym, że dwu lokajów podaje do stołu. Dwie wkładki muzyczne w akcie pierwszym i trzecim były też koncesją na rzecz nastrojku. — To nie dla poważnego teatru. Także ten wystrzał rewolwerowy — nieładny.

Lecz nie w tem główny błąd. Błędem głównym jest żelazna konstrukcja dla fularowego temaciku. Poprostu ci ludzie nie mają o czem mówić — dialog jest nieco za pusty, a strzelające od czasu do czasu race aforyzmów za błahe, aby miały wystarczyć do nasycenia pożądlivej publiczności. Całość jest jakby pokawałkowana, podzielona na numery. Czyżby reminiscencje twórczości dla małych scenek? Lepiej byłoby pójść drogą doskonale utartą i niezawodną: wprowadzić gości na imieniny u Zenona, jeszcze jakąś małą akcją poboczną, i zrobić świetną farsę, która, grana w dawnym (nie tegorocznym — bez Ćwiklińskiej) Teatrze Letnim, robiłaby kasę przez dwa miesiące i trzydzieści dni. Przypomniałam sobie teraz graną w Teatrze Polskim dobrze przed wojną krotchwilę pod tytułem „Mezaliani“. Napisał ją Wroczyński do spółki ze ś. p. M. Poznańskim. Jest to jedna z najlepszych krotchwil, napisanych w ostatnich dziesiątkach lat. Dlaczego Wroczyński nie poszedł tą drogą, kiedy tak znakomitym jest o b s e r w a t o r e m? POCO żelazny gorset dla talentu tak — tęgiego?

Obsada była świetna. Artyści w myśl zasady, że nie suknia zdobi człowieka, ale człowiek suknię, zdobili tę krotchwilę jak mogli. Kazimierz Kamiński wyreżyserował tę sztukę ze zwykłą sobie pieczołowitością minjaturzysty. W roli Zenona jednak, mimo genialnych, jak zwykle, szczegółów, nie dał z siebie dostatecznego ciepła uczuciowego, którego ta rola wymaga. Przyzwyczajenie długoletnie do grania zimnych egoistów mści się potem w takiej roli. Po za tą usterką gra Kamińskiego była popisem jego niezrównanej wirtuozji.

Jerzy Leszczyński niepospolitą siłą swej radości życia zmuszał do śmiechu nawet wtedy, kiedy śmiać się nie było z czego. Robił co mógł — gdyż rola jego, to właściwie „epizod“, niesłusznie przez autora do godności roli podniesiony.

Pani Gromnicka nigdy nie podobała mi się w roli naiwnej. Jest to — wbrew jej własnemu, zdaje się, i dość powszechnemu mniemaniu — artystka o zacięciu dramatycznym. Pokazała to ślicznie przez nią odegrana Pentezilea w Achilleis. Wdzięk naiwności u p. Gromnickiej brzmi zawsze nieco sztucznie.

Królową wieczoru była pani Panczewiczowa, która konwersowała z przedziwną elegancją, swobodą i wdziękiem. Nie przynosi jej to ujmy, że miała najlepszą rolę, bo i najlepszą można zepsuć. Tu zaś stała się rzecz przeciwna: z roli, w zasadzie dość błażej, wyrosła dama, kobieta, kochanka — jednym słowem: człowiek. To bardzo wiele.

Służbę dyskretnie odegrali pp. Zajdowski i Kojulłowicz. Piękne, dystygowane dekoracje obmyślił profesor Wincenty Drabik.

Z. P.



MODY I ROBOTY



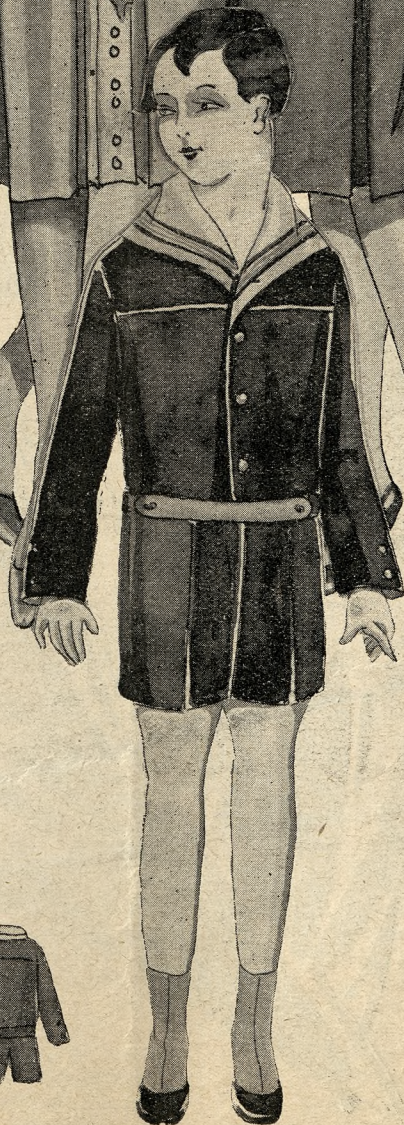




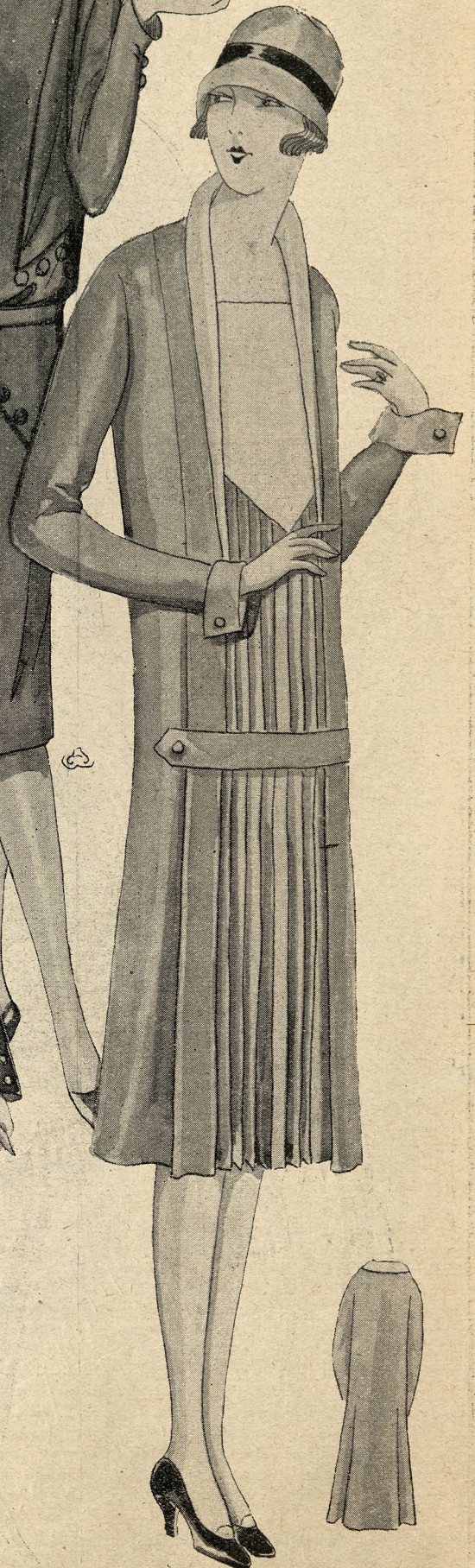
1112



1113



1116



1114

1115







1117

1118

1121

1119

1120





1122



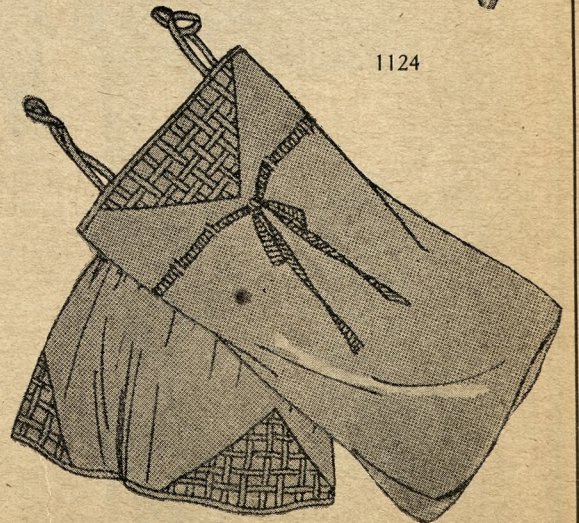
1123



1124



1125



1126





B

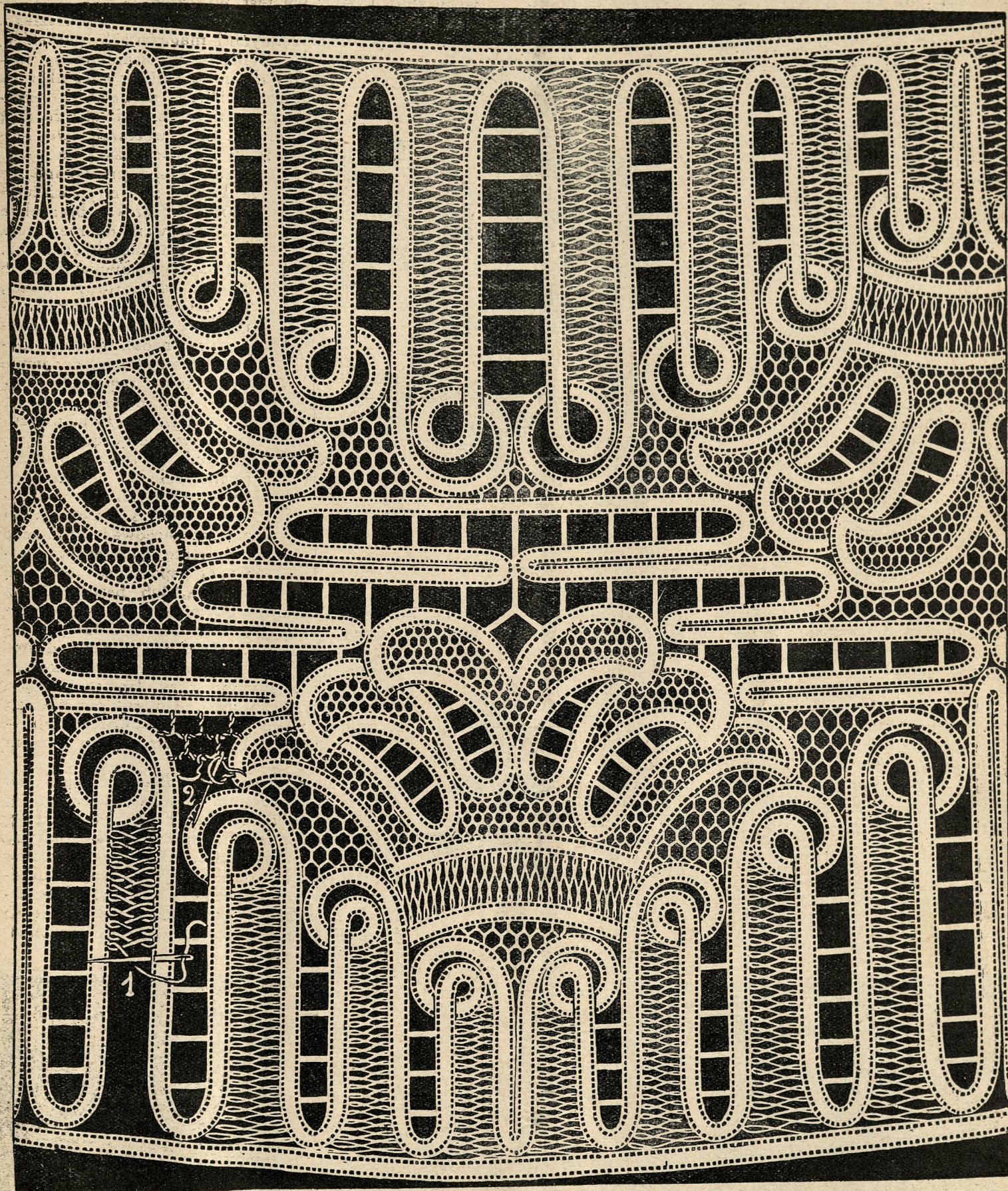
S







## ABAŻUR Z KORONKI POINT — LACE



Tak bardzo niegdyś modna, dziś zupełnie zaniedbana koronka point—lace, wraca znów na widownię. Tasiemczkę przymarszcza się, aby łatwiej dała ułożyć się podług deseni, który za pomocą kalki przenosi się na merkę lub papier, a następnie nafastrygowuje na ceratkę. Na tak przygotowanym deseni, układa się tasiemczkę podług rysunku i przymocowywa ją, puste miejsca wypełnia się różnymi ściegami koronkowymi, robiąc je igłą, cienką lnianą

nitką. Deseń należy powtórzyć tyle razy ile obwód abażura tego wymagać będzie.

Po skończeniu roboty poprzecinać fastrygę, zdjąć koronkę z deseni, powyciągać nitki, zmoczyć po lewej stronie wodą zimną, w której rozpuściliśmy parę kawałeczków ryżowego krochmalu i prasować z początku przez czysty kawałek płótna, następnie bez płótna niezbyt gorącym żelazkiem.



## J E S Z C Z E O M O D Z I E

Najmilszy z tematów, niewyczerpany, błyskotliwy, wonny, czarujący i — jak miłość stary, a wiecznie nowy. Grający tęczą barw, tajemniczym szep-tem jedwabnych tkanin, pozłocistością brokatów, bogactwem lśniących koronek, szkarłatem aksamitów, niewy-słowionym czarem perłowych kolji, misternych haftów, piór, miękkich cieniowanych futer, pociągający i upojny. Tysiącem ślicznych wyrafinowanych drobiazgów uśmiechnięty, sploniony zachwytem, pogłębiony pożą-daniem, co, niczem wieczysta lampa, tli się w oczach roz-modlonych zachwytem, owia-ny wonią upojnych perfum — tyran, co w kornem posłu-szeństwie poddanek czerpie moc swoją i władzę. Wyla-mywać się, protestować, po-woływać do życia partje opozycyjne, czyż to nie da-remna strata czasu, hołdo-wanie prądom rewolucyjnym, burzenie porządku i ładu, który uświetliły wieki?

Jeżeli złośliwy los każe nam szeptać cichą modlitwę wyrzeczenia, a wiecznie chwiejny budżet zmusza do obracania się w ciasnym kole smutnego „strict nécessaire“, nikt zabronić nam nie może patrzeć i słuchać — w imię czego ja chłonę wiecznie nienasyconym wzrokiem te nowe cuda i opo-wieść o nich snuć będę, a Wy, Panie, słuchajcie.

A wiec „le gout de l'assorti subsiste“. Stosuje się zatem kolczyki do pendentifów i rączek od parasoli, kapelusze do woreczków i pantofelków. Hermès stosuje szal z kasha do delikatnych odcieni tak modnej dzisiaj laski z wężowej skóry, wreszcie haft, jakim zdobny jest damski woreczek, do kolorytu fularowej chustki, którą otula się szyję. W tym wypadku najmodniejszym zestawie-niem kolorów będą: biały, popielaty i czarny, albo też — beige, crème i marron.

Klamry pasków zasługują na specjalną uwagę, tem więcej, że paski, tak skórzane, jak z futra, są ostatniem słowem mody. Nosi

się je do płasz-czy nieprzema-kalnych, skórza-nych, do sukien wełnianych, a kaboszony, które zdobią klamry, winny być zasto-sowane odcieniem do koloru płasz-cza, lub sukni. W tym sezonie ka-mienie, zdobiące klamry pasków, muszą być pod-wójne, a tam, gdzie w grę wchodzi sprzączki z mato-

wego złota, kształt ich jest wyraźnie okrągły w prze-ciwienstwie do wydłużonych linii roku przeszłego.

W pierwszorzędnym magazynach paryskich, których zadaniem — kreowanie mody, spo-tykamy skromne dzienne sukienki z ma-terjału, usianego drobnymi groszka-mi, rozmieszczonemi tak, że dają efekt skóry wężowej. Do ład-nych i najświeższych nowości należy kasha, przetykane ma-leńkimi złotymi kwiatuszka-mi. Szeroka bransoleta i dostosowana do niej broszka, to ostatnie słowo szyku. Pomiędzy kamieniami, które zdobią te kosztowne cacka, moda upodobała sobie szma-ragdy i blade szafiry, fawo-ryzując nadal onyksy, któ-rych ciemny ton tak cudownie uwydatnia wspaniałą błyskotliwość otaczających go brylantów. Kosztowne bizu-terje, grające tysiącami ogni, noszone są tylko do stroj-nych sukien wizytowych i wieczorowych. Strój spor-towy, lub spacerowy winien zawsze zachować skromność i prostotę, podkreślona naj-wyżej spokojną, skromną broszką, lub bransoletką, z

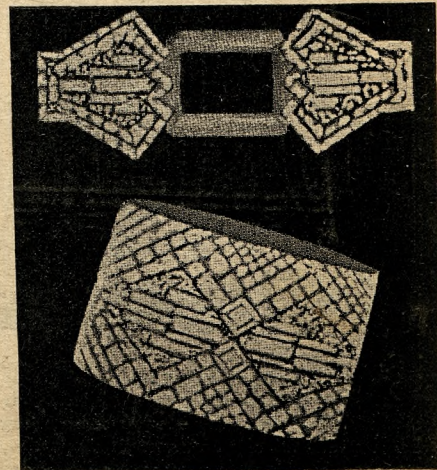
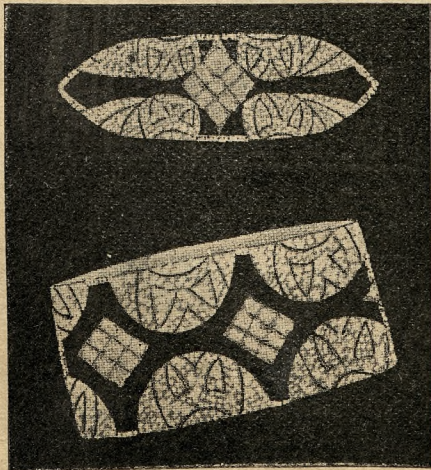
którą, jako z tak zwanem porte bonheur, nie rozsta-jemy się nigdy. Pantofelki wieczorowe z lamy prze-żyły się już bezpowrotnie. Jeżeli nie możemy dosto-sować jedwabnych pantofelków do koloru sukni, pozostaniemy przy faworyzowanym stale kolorze „blond“. Do sukien białych zaczynają nosić pantofelki jedwabne fioleto-we, lub zielone i pończochy w tym samym cieniu.

Kwiat uzupełnia w dalszym ciągu, tak okrycie, jak kostjum i suknię wieczorową, ale dobierać go trzeba z pietyzmem. Przy świetle dziennem zadowolnić się musimy pęczkami drobniutkich kwiatków w kolorze neutralnym, lub delikatnie tonowanym, ukła-dając olbrzymie butoniery w kształcie barw-nego nicejskiego goździka, które niedawno jeszcze były nam przykazaniem — do snu, owia-

nego wspom-nieniem minio-nej świetności. Włosy, jak do-tąd — krótkie.

Na karku wybitnie krótko strzyżone, układa się w kokietyjny lok, spada-jący na czoło. Jest to ostatni po-mysł jednego z naj-modniejszych fry-zjerów paryskich.

Do sukien wie-czorowych modne będą długie loki, noszone już dzisiaj





przez zagraniczne elegantki. Futra jasnego koloru, tak zwanego „blond“, wysuwają się na pierwszy plan, jak również wszelkie futra o krótkim i płaskim włosie. Zrebaki i strzyżone baranki używane są jako garnitury do płaszczy sukiennych. Robią też z nich całkowite kostjumy. Wielkiem powodzeniem cieszą się też casaques i ze skóry gazelli.

Nową, a ładną i efektowną kombinacją jest lamowanie futer gładkim pasem z sukna, lub aksamitu, w kolorze, dostosowanym do futra, lub też zupełnie odmiennym. Jedną z najbardziej wziętych kombinacji jest zestawienie spódniczki ciemno ponsowej z kurtką wykonaną z gazelli, lub królików, tak zwanych petit—gris, i podkreślonej paskiem tej samej tkaniny, z której wykonano spódniczkę. Skóry cieliące są dzisiaj ostatnim krzykiem mody.

Robią z nich worki sportowe i podróżne, szerokie paski, kołnierzyki amnkiety. Do sportu, do podróży nosi się płaszcze i kurtki ze skóry cieliącej farbowanej na kolor beige, lub brązowy, wykończając je kołnierzami z lisów lub zajęcy, farbowanych na ten sam kolor. W Paryżu lansują nawet modele okryć spacerowych, wyko-

nanych ze skór cieliących, farbowanych na kolor blond, które w zestawieniu z toczkiem i workiem, wykonanym z takiej samej skóry, uznane są za nadzwyczaj efektowne i eleganckie.

Sposób, w jaki się przystraja płaszcze futrem, jest dzisiaj pełen wyszukania i fantazji. Ulubionym garniturem są skunksy i lisy, skóry których układa się w całości u dołu płaszcza, tak aby się spotykały głowami w miejscu, gdzie schodzi się palto. Linja wydłużonego tyłu uwydatnia się wyraźnie w wielu kolekcjach. Bolera, peleryny, a nawet spódniczki podporządkowują się jej chętnie — jest ona zapowiedzią dłuższych sukien, które sygnalizować zaczynają z nadejściem najbliższego sezonu.

Pyjama jest najsilniej może faworyzowaną fantazją chwili, to też przewija się ona przez pierwszorzędne magazyny i ich kolekcje pod postaciami prawdziwie feerycznymi. Najczęściej spotykanym jest dzisiaj wspaniały płaszcz z aksamitu, lamy lub jedwabnego muszlinu, który narzuca się na spodeńki i casaque z jedwabiu. Jenny lansuje spodeńki z lamy i bluzę ze złotej siatki, jako ostatnią nowość w dziedzinie negliżów.

Noemi.

## PANOWANIE BRUNETEK

Pod tym tytułem pojawił się artykuł w jednym z najpoczytniejszych dzienników paryskich i opiewa, że moda brunetek na zbliżający się sezon zimowy przekazana jest Europie przez Amerykę i że ogarnie wszystkie kobiety pod swe wszechwładne panowanie.

Jednym słowem, bez względu na to, jakim odcieniem włosów obdarzyła natura piękne i niepiękne panie, one tej zimy powinny mieć włosy krucze.

Cóż rozdziela Amerykę z Europą? Ocean! błahostka! od czasu, kiedy kapitan Fonk przekroczył go w kilka godzin; tak więc jak dawniej mówiło się: „Nie masz już Pirenei“—my możemy mówić: nie masz już Oceanu“ i równocześnie kobiety europejskie wraz z amerykańskimi siostrzycami wystąpią na czarno jak cienie Eblisa. O gustach, kolorach i włosach kobiecych nie wolno, podobno, dyskutować. Ci wszyscy normalni, realni mężowie, dla których jest ideałem dom dobrze zagospodarowany, kuchnia smakowita, obiady w stosownej porze podawane, a przedewszystkiem spokój domowy, będą zatrzwożeni niepomalu, gdy ujrzą swe małżonki—słodkie blondynki, lub dowcipne szatynki, przekształcone z dnia na dzień na namiętne brunetki, niepowściągliwe, zazdrosne, gotowe bohaterki dramatów.

Pod aureolą blond włosów, w rzeczy samej cera twarzy rozjaśnia się, wyraz twarzy łagodnieje, w oczach igrają uśmieški, podczas, gdy pod puklami włosów kruczych, twarz blednie, nabiera wyrazu tragicznego, a oczy błyszczą namiętnie.

Dowiedzionem jest, że jeżeli uczucia wywierają wpływ na wyraz twarzy, to przez ciekawy kontrast tego prawa, wyraz i postawa wyrabiają stosowne uczucia.

Stąd włosy jasne skłaniają kobietę ku łagodności, nadając jej wdzięk powolnej indolencji, podczas gdy włos czarny urabia namiętną gwałtowność.

Należy się lękać, aby wraz z nową modą nie wzmogła się liczba występów na tle erotycznym, chociaż nie warto zbytnio się tem przerażać, uprzytomniając sobie, jakiego różnorodnego rodzaju pojawiają się brunetki, i jaka różnica jest między brunetką z Sewilli o kipiącej krwi hiszpańskiego słońca, a brunetką Francuzką, zrodzoną w cudnie umiarkowanym klimacie, darzącą ją wszelkimi wdziękami. Przyjmijmy więc z wyrozumieniem tę nową fantazję przelotnej mody w przekonaniu, że kobiety, mimo jednolitego koloru włosów, będą naprzemian zimne i gorące, czule i okrutne, figlarne i uczuciowe, wierne, zmienne i kapryśne, jak dotąd.

K. D.





## O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

### WIELKA WOJNA

W sierpniu 1914 roku rozszalał się nad Europą potworny huragan wojny światowej. Przez parę lat huk armat i dymy pożarów wypełniały tysiące kilometrów krwawych bródz okopów i pasów frontowych które się przeorały państwa europejskie. Ginęły miliony ludzi i miliony domów zostały starte na proch. Tysiące rodzin porujnowanych cofały się w głąb kraju od płonących linii frontu. Całe miasta ulegały zniszczeniu. Na mapie potworzyły się wielkie rany, powypalane olbrzymie przestrzenie, gdzie nie było nic, prócz gruzów i nasiąkłej krwią ziemi. Bieg życia normalnego został wstrzymany, egzystencja wlokła się z dnia na dzień w oczekiwaniu nowych ciosów, w marzeniu o jakimś wyzwoleniu. A ledwie wiatr rozwał dymy, odsłaniając mogilne krzyże, płomień rewolucji od wschodu błysnęły nową pożogą. Nie spotykana w historii orgja niszczycielska, jak potworne widmo, zawisła nad wycieńczonym światem. I znów tysiące tysięcy domów, sztuka, nauka, miliony ludzkich żyć odeszły z kraju mierzonego na setki kilometrów kwadratowych. Jak z buchającego ogniem wulkanu, popłynęły wokoło szerokie strugi niszczycielskiej, dymiącej nienawiścią, lawy komunizmu.

Ziemiom polskim los niczego nie oszczędził. Obracały w perzynę nasze wsie i miasta haubice niemieckie i działa rosyjskie. Deptało żołdactwo obu armij naszą kulturę i cywilizację. Wleczono na golgotę wygnania tysiące polskich rodzin. Aż wreszcie burza od wschodu zniszczyła prawie po stolicę to, co zaoszczędziła wielka wojna. Gdy zachód już w 1919 roku mógł się zacząć odbudowywać, myśmy do 1921 r. czekali na to.

Siedmioletni okres wojny i rewolucji już nie zdemokratyzował świata, ale go przenicował doszczętnie. Na ruinie jednych wykwitły majątki innych. Ludzie starej kultury, zamożni od wieków, obudzili się nagle nędzarami, a wczorajsze męty, z nicości powstałe imiona, błysnęły potęgą złota.

Dom polski ucierpiał szczególnie. Po miastach przyszły rekwizycje, rosyjska, potem niemiecka. Warunki materialne zmusiły jednych do oddawania części mieszkań sublokatorom, gdy inni, pozbawieni własnego dachu nad głową, gnieździłi się całymi rodzinami w jednym lub paru pokojach. Dom stał się hotelem, dworcem kolejowym, gdzie wciąż się zmieniali podróżni, narzuceni przez przypadek. A potem nagle nastąpiło straszne skostnienie, zamarcie. Wróciły do kraju masy wychodźstwa, z zachodu i wschodu napłynęły tysiące, dla których nie było mieszkań. Zrobiło się coś potwornego. Wypełniły się po brzegi lokale, bez możliwości ruchu, zmiany. Przeróżne ustawy i ochrony wzniecały nienawiść i walkę. Jedynie bardzo nieliczni mogli mieszkać i mieszkali, jak chcieli. Wzrost cen i obniżenie stanu posiadania nie pozwalało ani na remonty, ani na nabywanie rzeczy nowych. Ktoś, zdobywający z trudem pokój, musiał się pogodzić ze strasznymi tapetami z ohydny sufitem, ze zniszczonymi brzydkimi meblami. Trzeba było wiele zamilowania i wytrwałości, by w tych warunkach stworzyć sobie indywi-

dualne wnętrza, a choćby przeinaczenie pokoju mieszkalnego. Większość mieszkań pozostała tak, jak je zastał rok 1914, jedynie bardziej zniszczona. Całkowity przewrót w stanie majątkowym wielu rodzin, całe zastępy nowych biedaków, ludzi o wysokim poczuciu piękna, stworzyły nowy typ mieszkanca małego, z jednego lub dwóch pokoi złożonego, wytynkowanego, skromnie umeblowanego ocalonymi resztkami dawnej fortuny, lub miłymi prymitywami mebli, — jasnego i prostego. A jednocześnie wykwitły straszne apartamenty nuworyszów, pełne ciężkiego przepychu z doby przedwojennej lub niezrozumiałego modernizmu zachodu. Wstrętne wnętrza, zasilane przez firmy stolarskie, umiejące jedynie grzebać się w umarłych stylach, modernizując je i walcując do nieskończoności.

Dwór wiejski miał też ciężkie chwile. Pastwiły się nad nim armaty i żołdactwo; jeśli nie został spalony, to bywał często zrabowany doszczętnie. Mieszkańcy jego przeważnie musieli iść na długą tułaczkę, i dopiero po latach wracali do rodzinnego gniazda. Dziwić się można, że jednak jeszcze tyle dworów los nam pozostawił. A ledwie po wielkiej wojnie trochę się odbudował, już w 1920. r. ogień od wschodu znów go zniszczył. Niezliczone skarby sztuki i budownictwa polskiego zostały nazawsze zniesione z powierzchni ziemi poza wschodnią granicą. Wspomnienie o nich pozostało jedynie w pamiątkach, w fotografiach i w duszach dawnych posiadaczy.

Pomimo całej niszczycielskiej działalności wojny, miała ona szalony wpływ na technikę i zdobycze naukowe. Prześcigali się uczeni wrogich państw, kto lepiej udoskonali radjo, kto mocniejsze zbuduje reflektory i drednaught'y, kto skonstruuje szybsze samochody, kto opanuje lotnictwo. Wszystko, co w tej dziedzinie było przed wojną, wydaje się nam po siedmioletnim panowaniu śmierci — dziecinną zabawką. Jeśli porównamy aeroplan i samochód z przed kilkunastu lat, uśmiechniemy się pobłaźliwie, nie dowierzając sobie, że to myśmy sami tym autem jeździli i patrzyli na karkołomne sztuki pana Peguod. A radjo? Doprawdy, że okres wojny był owym przeciągiem, co nagle otworzył drzwi z ciemnego pokoju na pełną blasku salę, gdzie świeci wiedza. W huku dział pod Verdun wykłuło się tempo nowego życia, którym dziś żyjemy. Miliony kilometrów drutu kolczastego odzieliły nas od grobowca sztuki, jakim był wiek XIX.

Zaraz po wojnie opanowano nowy, wspaniały materiał budowlany, jakim jest żelbeton. Znany przed wojną, dopiero niedawno został należycie oceniony i masowo używany. Mając pod ręką ten cudowny materiał, pozwalający na zakonywanie w kształt realny najśmielszych pomysłów architektonicznych, możemy śmiało głosić, że się zaczęła nowa era w dziejach sztuki. Jesteśmy u jej kolebki, nie możemy więc przewidzieć, jak się rozwinie. Ale właśnie owa nowość materiału, nowość formy, jaką się zaczyna operować, nowość tempa życia i potrzeb — pozwalają przypuszczać, że się zerwaliśmy z dawnymi przeżytkami, że się tworzy coś nowego w harmonji z autem, aeropla-





nem, radjem i kinem. W naszym budownictwie powojennem mamy ogromnie nieustaloną linię postępowania. Jedni rzucili się do wzorów architektury polskiej, zaczęto stawiać „ultra polskie“ dworki, w tymże charakterze wille, dworce kolejowe i kioski do gazet. Wszędzie pchano kolumny, kolumnienki, barokowe szczytiki i esy, łamane dachy. Doszło do takiego absurdu, że kłozety przy dworcach, małe domeczki, mają szkarpy i łamane dachy. Było to znów ślepe naśladownictwo form przeżytych, bez wczucia się w potrzeby dzisiejszego dnia, imitowanie w miniaturze rzeczy monumentalnych, które straciły przez to swe piękno i wydawały się śmieszne.

Otworzyły się, na szczęście, oczy, i dziś już chyba nikt nie wybuduje kościółka na wsi w gotyku z czerwonej cegły z białymi obwódkami wokoło okien.



Inni znów chcą gwałtownie przeforsować wzory zachodu, żywcem przeniesione na nasz grunt, bez uwzględnienia naszych wymagań, potrzeb i trybu życia. Walka tych dwóch prądów daje się pysznie zaobserwować na wszystkich wystawach konkursów architektonicznych. Najgorsze jednak jest to, że zły stan finansowy ogółu nie pozwala zacząć na wielką skalę rozbudowy miast, a owe wznoszone wolniutko „kolonje“ podmiejskie jedynie w znikomej części zlagodzą głód mieszkaniowy i nie dają należytego pojęcia o wygodzie i komforcie takich domków na zachodzie. Liczenie się z każdym groszem odbija się fatalnie na budownictwie. Do dziś więc musimy cierpieć i znosić tysiączne braki, niewygody i okropności mieszkaniowe w typie przedwojennym z dodatkiem skrzepowania i ciasnoty, tudzież stosunków, najzupełniej powojennych. Zygmunt Knothé.

## HISTORIA GOTOWANIA

Za czasów regencji, po śmierci Ludwika XIV takie nazwy, jak „Indyk à la Régence“ lub „pains à la d'Orléans“ dowodzą, że kuchnia doskonalila się i za małoletności Ludwika XV. Pani Pompadour, ulubienica Ludwika XV, zostawia w historii kuchni swoje wspomnienie w filetach „à la Pompadour“, a książę Soubise przekazuje potomności swoje imię w kotletach baranich i sosie „à la Soubise“.

Rewolucja francuska niszczy wraz z dworem i arystokracją cały dorobek kulinarny Francji. Napoleon I, ten genialny parwenjusz, wnosi nowe prądy w życie i nowe smaki do kuchni. Żąda, aby każda potrawa miała swój smak właściwy, i aby żadne przyprawy nie zacierały różnicy między niemi. Ulubionem jedzeniem jego była pularda à la Marengo duszona w oliwie. Napoleon jadał zwykle o szóstej, często jednak zapominał o obiedzie, wtedy co kwadrans nakładano na rożen świeżą pularde, i zdarzało się, że upieczono dwadzieścia kilka sztuk jedną po drugiej, zanim cesarz przypomniał sobie o obiedzie. Pomimo wstrzemięźliwości i prostych gustów wielkiego cesarza, sztuka kucharska stale się rozwijała. Minister Talleyrand i książę Cambacères szczególną pieczołowitością każą swym szefom otaczać ucztę, wydawane dla dyplomacji zagranicznej, bo jak mawiali: bez dobrej ucztę, najlepszy dyplomata nic nie zrobi.

Kuchnia księcia Cambacères znana była w całej Europie, do tego rozgłosu dopomagał mu znakomicie serdeczny jego przyjaciel, smakosz nad smakoszami p. d'Aigrefeuille. Był on przysłowiowym, opowiadano o nim tysiące anegdotek, jedną z lepszych jest poniżej przytoczona; zapytany, czy się często modli, odpowiada: „O tak, dziękuję niebu za wielki wynalazek sztuki kucharskiej. Rajem będzie zapewne to miejsce, gdzie będzie można wiecznie siedzieć przy stole bez obawy przejedzenia się“.

Najlepszym wówczas kucharzem był Baltazar Laurent, autor „Almanach des Gourmands“, twórca szkoły klasycznej w nauce gotowania. Ostatnim wyrazem doskonałości w literaturze kulinarnej francuskiej jest dzieło sławnego Brillat Savarin „La physiologie du goût“, wydana w 1825 roku. Dla oryginalności przytaczam tu, że w początkach XIX wieku zwalczały się w Paryżu dwa prądy sztuki kucharskiej: klasyczny i romantyczny; niedoścignionym przedsta-

wicielem tego ostatniego był Antoni Carême, nadworny kuchmistrz cara Aleksandra I w Paryżu — bilans jego wydatków rocznych na kuchnię wynosił 80 do 100 tysięcy franków. Nie chcąc jechać do Petersburga ze swoim panem — przyjął propozycję lorda Stuarta, posła angielskiego, towarzyszenia mu do Wiednia, gdzie zyskał historyczne miano „Kucharza Kongresu Wiedeńskiego“. Powróciwszy do Paryża, objął miejsce Rothschilda, gdzie wstąpił się zarówno jako znakomity kucharz i wybitny pisarz kulinarny, Pozostawia po sobie liczne, cenne bardzo dzieła. Najlepsze z nich są: „Le cuisinier parisien“, „La table de quelques souverains et grands seigneurs“, „Un déjeuner de l'Empereur Napoléon“, „La table du pr. Cambacères“, „L'art de la cuisine française au XIX siècle“ i wiele innych.

Ze znanych francuskich kucharzy trzeba jeszcze wymienić Udego, który na swoje kulinarne doświadczenia, zrujnowawszy doszczętnie swego chlebodawcę Księcia Yorku, zaangażował się do sławnego klubu karcianego w Londynie, za wynagrodzeniem 30.000 fr. rocznie.

W ostatnich czasach najlepsze dzieła kulinarne wydali Gouffé: „Le livre de la grande cuisine et de la cuisine de ménage“ — Urbain Dubois: „Cuisine classique“, „Cuisine artistique“ i „La cuisine de tous les pays“, w końcu „Cuisine d'aujourd'hui“. Urbain Dubois był przez 30 lat szefem kuchni Wilhelma I, któremu też poświęcił swoje najlepsze dzieło: „La cuisine classique“. W czasach najświeższych Paweł Bouillard stosując się do dzisiejszych warunków, wydał dziełko pod tytułem: „La gourmandise à bon marché“, zawierające dużo oszczędnych, praktycznych przepisów, uwzględniających ciężkie warunki chwili.

W Niemczech cenioną była kuchnia francuska do tego stopnia, że nawet znany ze skąpstwa Fryderyk Wielki, sprowadził z Francji kucharza, Noëla, i płacił mu ogromne sumy, W Polsce wielcy panowie za króla Walejusza w XVI wieku, trzymali służbę francuską, która naturalnie powoli wprowadzała swoje zwyczaje, tak że już za panowania Zygmunta III, kuchnię polską, złożoną z prostych potraw, zastąpiła w zupełności francuska. Ulubione dania polskie stanowiły rosół, barszcz, żur, wszelkie zrazy z kaszą, kiełbasa z kapustą, bigos litewski, flaki, kołduny i t. d. wszystko



przyprawiano ostro i korzennie, gdyż imbir, pieprz i ziele stanowiły ulubione dodatki.

Na wspaniałych przyjęciach podawano gęs gotowaną z sosem śmietanowym z grzybami, lub gęs w potrawie na czarno, do której sos, jak mówi ksiądz Kitowicz, (opis zwyczajów z czasów panowania Augusta III-go) zaprawiano spalonym wiechciem ze słomy, dodając różnych innych słodkich i korzennych przypraw. Ulubiona ta potrawa, podawana na największych przyjęciach, jedynie na ucztach wielkopańskich ustępowała pierwszeństwa potrawom z gotowanych ogonków kóz karpaccich, łap niedźwiedziej i chrap łosiowych. Najwyżej rozwiniętym u nas działem sztuki kulinarnej było niezaprzeczenie cukiernictwo, które stało na tak wysokim poziomie, że cukiernicy stwarzali poprostu bajki zaczarowane ze swoich wyrobów, dzięki którym przerabiali stół w cudowne ogrody, miasta z pałacami i ulicami, pełnymi ruchu, z wspaniałą rezydencją, na której widniał herb tego, który ucztę wyprawiał, lub tego, dla którego była wyprawiana. Dla cukierników ówczesnych nie wystarczała nauka ich zawodu, bo każdy musiał być zarazem poetą, malarzem, heraldykiem.

Pomimo wspaniałości przyjęć nie było w Polsce tego rozpasania obyczaj, co w Rzymie i we Francji za ostatnich trzech Ludwików. Domy Potockich, Borzęckich, Czackich, Lubomirskich etc. słynęły za króla Stanisława Augusta świetnością swoich przyjęć.

Cechą uczt polskich aż do Zygmunta III-go, była pierwotna prostota, a aż do dzisiejszych czasów jest wielka serdeczność i gościnność, Polakom tylko właściwa. Uczta, wydana przez wielkiego kanclerza koronnego Ossolińskiego za czasów Władysława IV dla posłów zagranicznych, pozostała przez długie czasy w pamięci wśród swoich, a bezgraniczny podziw wzbudziła wśród obcych, zwłaszcza że produkty i przyprawy użyte do sporządzenia biesiady były tylko krajowe. W pamiętnikach Niemcewicza czytamy o przepychu, z jakim Gamrat przyjmował swoich gości. Ze znanych polskich kuchmistrzów wymienię sławnych: Balcera Platę na dworze Zygmunta Augusta, Piotra Żerańskiego na dworze Zygmunta III i z późniejszych Czarnieckiego, Sierpieńskiego, Grudzińskiego i innych.

Najlepsze dzieła kucharskie, z końca XVIII i początków XIX wieku są: Czernickiego: „Kuchnia drze-

wo oszczędzająca“, „Dobra gospodyni, czyli fundamenta ekonomji gospodarskiej“, i „Kucharz doskonały w wybornym guście z oszczędnością.“

Z drugiej połowy XIX stulecia mamy wydawnictwa niezastąpionej Lucyny Cwierciakiewiczowej której, między innymi, 365 obiadów i „Jedynie praktyczne przepisy“, niejednokrotnie bywały ratunkiem początkujących gospodyń. Z dzieł świeższych niewątpliwie należy się palma pierwszeństwa książce Pani Marii Monatowej. Jej „Uniwersalna książka kucharska“ swojemi licznymi i różnorodnymi przepisami niezocenioną jest pomocą w gospodarstwie. Pomimo rozmaitych upodobań i różnych smaków, francuska kuchnia bezwzględnie prym trzyma w całej kulturalnej Europie. Jej różnaitość, dobór pierwszorzędných produktów, sposoby przygotowywania ryb i mięsa, nieporównane sosy, umiejętność przygotowania potraw, zestawienie ich, czynią ją pożywną, a lekko strawną. Anglicy jadają pokarmy solidne, nie tuczające, przytem lubią ostre, sosy i pikantne przyprawy.

Niemiecka północna kuchnia zbliżona jest do angielskiej. Środkowo niemiecka jest najgorsza: wszystkie mięsa podlane wodnistym jednakowym sosem, żadnej różnaitości. Południowo niemiecka zato jest bardzo smaczna, odznacza się wybornem pieczywem ciastkami, leguminami. Mięsa również przygotowywane są wyśmienicie. Kuchnia włoska, zbliżona do francuskiej południowej, do wszystkiego używa oliwy, do której trzeba się przyzwyczaić, żeby ją znosić można; pozatem dużo pomidorów, makaronu, ryżu i parmezanu, oto właściwości włoskiej kuchni. Polska kuchnia składa się z potraw swojskich, z przymieszką angielskich, francuskich, a nawet południowo niemieckich i rosyjskich. Różnorodność mamy ogromną. Jest w czem wybierać i czem wszystkie gusta zadowolnić, trzeba tylko umiejętności, dobrej woli i wytrwałości, a przekonamy się, że nie święci garnki lepia. Nie trzeba tylko zrażać się niepowodzeniami, zniechęcać się trudnościami, które cierpliwie zwalczać należy, a nabierzemy powoli doświadczenia i wprawy. Przekonawszy moje czytelniczki, że historia gotowania stanowi poważny dział historii każdego narodu, ilustrujący niejako jego kulturę i obyczaje, postaram się w następnym numerze praktycznie ująć kwestję gotowania.

J. S.

## SZAFKA Z ZAPASAMI

Instalacja nasza zimowa byłaby niezupełna, gdybyśmy nie pamiętali o tej siostrzycy spiżarni: szafie z zapasami.

Umieć rozmieścić swe zapasy w sposób praktyczny i estetyczny jest sztuką prawdziwą. Od starannego utrzymania szafy, a przedewszystkiem od mądrego jej zaprowiantowania, zależy w znacznej mierze gastronomiczny komfort rodzinny, jeśli można się tak wyrazić.

Przedewszystkiem, jako правило ogólne, nie rozpraszać panie swych zapasów, bo to strata i czasu i produktów. Składając je w jednym miejscu, łatwo jest sprawdzić je od jednego rzutu oka, czuwać nad ich przechowaniem i mieć natychniast to, czego się szuka.

Gdzie postawić szafę z zapasami? Byle gdzie—byłoby wielkim błędem. Dla dobrego bowiem przecho-

wania produktów, potrzebna jest temperatura sucha i niezbyt ciepła, raczej świeża.

Kuchnia jest tu wykluczona z racji swej wilgotnej ciepłoty, wytworzonej przez parę z gotowania, jednak, o ile to możliwe, szafę postawić należy niezbyt daleko od kuchni, bo tak jest wygodniej; szafy ściennie nadają się ku temu celowi.

Gdy ich brak, łatwo je zastąpić przez kredens starożytny z grubego drzewa, z głębokimi półkami zamkniętymi, który zresztą może być bardzo dekoracyjny.

Kredensy takie składają się zazwyczaj z dwóch części, z których niższa jest szersza, a które łączy wielka szuflada..

Zacznijmy od dołu naszego kredensu.

Tajemnicą dobrych sosów jest możność mieć pod







ręką tłuszcze i przyprawy. Umieścimy więc te ostatnie w kącie na dole w dużej pauce od soli; dalej wszystkie tłuszcze w domu przetopione, a nie kupowane gotowe, puszkami z wątróbkami gęsiemi i kaczmi i równie smaczne pasztety ze zwierzyny; przygotowanie tych smakołyków nie powinno mieć tajemnic dla was, moje panie. Są to rzeczy cenne, gdy chodzi o dopełnienie obiadu lub kolacji, w wypadku gości niespodziewanych.

Dalej stać będą słoje z konserwami z pomidorów, groszku, fasolki zielonej, które najoszczędniej przygotować w czasie właściwego im sezonu.

Teraz dochodzimy do szuflady: umieścimy tam kolendrę, majeranek, przywiezione z lata; bobkowe liście, wanilię w hermetycznych puszkach, wypełnionych cukrem i t. p.

W górnej części bufetu ustawimy cały bataljon

jarzyn suszonych, a także ryż: kupowanie go w małych ilościach wypada znacznie drożej; makaronu nie za dużo, gdyż się psuje; dalej owoce suszone, tak pożyteczne w zimie.

Wyżej jeszcze, urządzimy półkę, najmiłą dla smakoszy: konfitury, owoce osmażane, praca pięknych dni letnich, delikacje wetów zimowych.

Na tem piętrze drogocennem, umieścimy jeszcze domowe likiery i nalewki, tak lubiane przez panów i o tyle zdrowsze, niż to wszystko, co mogą znaleźć po za domem w tej dziedzinie.

Kilka pudełek sardynek, makreli, skrumbji marynowanych przydadzą się bardzo na dnię postne.

Dodajmy jeszcze jajka i masło solone do naszych zapasów—a teraz sądzę, moje panie, że możecie śmiało oczekiwać gości niespodziewanych. M. R. F.

## DWA BUDŻETY

Leży przedemną francuskie popularne pisemko, „Mon chez moi“, organ normalizacji pracy domowej kobiet francuskich; czytam w niem cały szereg artykułów o budżetach domowych francuzek i amerykańek. Nie są to fantastyczne preliminarze, które niewiadomo, czy kiedy zostaną wykonane, — są to już zamknięte budżety, po ukończonym roku, dowody dokumentalne tego, że przy rządności, nawet przy szczupłych środkach można życie rodziny urządzić komfortowo i wygodnie.

Redakcja „Mon chez moi“ rozesała do swoich czytelniczek wezwanie przysyłania takich już wykonanych budżetów, i całe szeregi tych czytelniczek chętnie przystały na tę prośbę i przysłały bardzo detalicznie prowadzone roczne rachunki domowe. Z nich amerykańskie są dla nas mniej ciekawe; zbyt duże są różnice zwyczajów i przyzwyczajzeń naszych i tamczyń, żeby cokolwiek z nich nietylko do naszych przyzwyczajzeń móc zastosować, lecz nawet porównać z naszymi. Natomiast bardzo ciekawe dla nas są budżety francuzek, układane nadzwyczaj celowo i umiejętnie, wykonywane skrupulatnie. Co w nich najbardziej zastanawia, to to, że wszystkie rubryki wydatków procentowo we wszystkich budżetach są prawie te same, co dowodzi, że, mimo szalonej drożyzny, wielokrotnie przewyższającej naszą, życie się u nich już zupełnie unormowało, i stosunek kosztów jednych potrzeb życiowych do innych daje się z góry określić. U nas tymczasem jest inaczej, — miejmy jednak nadzieję, że się to w końcu kiedyś zmieni, — obecnie przy tych samych środkach we Francji można się urządzić dużo wygodniej, mieć więcej komfortu i zaspokoić więcej potrzeb kulturalnych. Aby nie być gołosłowną wezmę jeden z podanych w „Mon chez moi“ budżetów i porównam każdą z podanych w nim pozycji z tem, co u nas za tę sumę miełby można. Biorę budżet francuski 2.000 franków miesięcznie, co odpowiada mniej więcej naszym 500 złotym, przeciętnemu zarobkowi urzędnika, czy oficera. Skala życia przy tejże samej cyfrze dochodu jest o wiele wyższa, niż u nas.

Rodzina składa się z męża, żony i dwojga dzieci, — dzieci widocznie są małe, lub chodzą do szkoły powszechnej, gdyż nigdzie niema śladu wydatków na opłatę szkoły lub lekcje prywatne. Sumę całą 2000 franków miesięcznie, 500 złotych—dzieli się w sposób następujący: Komorne 15% — około 75 złotych, — co i u nas jest wykonalne, przy dwu lub trzypokojowym mieszkaniu wprost od gospodarza, tylko, że oni mają za tę cenę pięć do sześciu „pièces“. Życie wynosi 30%, czyli 600 franków—150 złotych,— u nas to jest prawie niewykonalne, bo wynosi niespełna cztery złote dziennie na osobę, — francuzi mniej od nas jadają na objętość, mięsa używają mało, jarzyn tanich i dobrych dużo, mają też wielką różnorodność ryb morskich, natomiast gospodynie francuskie są prawdziwemi wirtuozkami w przyrządzaniu i urozmaicaniu potraw, — a muszą dobrze głową pokręcić, aby z tej sumy 600 franków, wyżywić cztery osoby przy cenie 38 franków za kilo cielęciny i 60 franków za kilo masła (ceny, podane przez moją znajomą, mieszkającą obecnie w Paryżu). Usługa, opranie, światło, wynoszą 20% czyli 400 franków, — naszych 100 złotych. Ta pozycja i u nas da się zastosować, — muszą jednak zwrócić uwagę pań, że usługa nie znaczy stała służąca, gdyż, jeżeli u nas kwestja służby przedstawia się źle, to we Francji jest z tem dużo gorzej.

U nas można mieć jakieś popychadło za 30 złotych, lecz utrzymanie tego popychadła wyniesie około 90 złotych, utrzymanie—nawet najskromniejsze, jeżeli przyjąć pod uwagę opranie, światło, i duży apetyt takich „pomocnic“. We Francji sama pensja miesięczna wyniosłaby przeszło 300 franków, co by się równało 75 złotym. O trzymaniu stałej służącej przy takim dochodzie nikt oczywiście nie myśli. Przychodzi posługaczka na trzy godziny, (w sobotę—na cztery godziny) dziennie, aby wykonać cięższe roboty, pomóc przy praniu, wyszorować podłogi, pozmywać statki kuchenne.

Podatki wynoszą około 3% czyli 60 franków — 15 złotych. U nas, przy ich wysokości i wielorodności,





przy płaceniu nieraz wielokrotnem, (naprzykład jeżeli kto posiada papier procentowy lub jaką rentę, płaci jedenaście procent podatku od tej renty plus podatek dochodowy od całej sumy, której ta renta część stanowi), — wyniosą one dwa lub więcej razy tyle. Opał wynosi 2<sup>o</sup>/<sub>o</sub>—40 franków, naszych 10 złotych. Szczęśliwi ludzie! u nas wprawdzie oszczędna gospodyni, gotując sama na gazie, opał zużyty na kuchnię może zmniejszyć do 12—15 złotych, lecz już wanna, chociażby jedna na tydzień, czyli jedna na miesiąc dla każdego członka rodziny, powiększy tę cyfrę przynajmniej o cztery złote. My mamy kilka miesięcy zimy i konieczność zużycia paru lub więcej ton węgla na opał pieców, albo olbrzymie opłaty na centralne ogrzewanie, prawdziwego Molocha, który wprost pożera opał a nie zawsze dotrzymuje zobowiązania ogrzewania mieszkań. Wydatki osobiste pana domu. (ubranie, papierosy, kawiarnia, przejazdy, rozrywki) wynoszą 6<sup>o</sup>/<sub>o</sub>—120 franków—30 złotych. Papierosy, rzadko tramwaj, jakieś pół czarnej możeby się u nas dały w to zmieścić, lecz stanowczo zabrakłoby na podzelowanie butów lub nowy kołnierzyk. A w detalicznym budżecie widzę i ubranie, i obuwie, i bieliznę, i kapelusz, ect. ect. Wprost cuda i tyle. Jeszcze w większy podziw wprawiają osobiste wydatki pani domu, wynoszą one 6<sup>1</sup>/<sub>2</sub><sup>o</sup>/<sub>o</sub>—134 franki — około 40 złotych. W detalicznym wyliczeniu są suknie, wprawdzie tanie—po 100 franków—25 złotych, lecz są;—jest fryzjer—15 franków (4 złote) są pończochy jedwabne—22 franki—4<sup>1</sup>/<sub>2</sub> zł. itd. itd. jest bilet na koncert 10 franków—2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> złotego, są nawet perfumy, oczywiście wszystko to się mieści nie w jedno, lecz w kilkumiesięcznym budżecie, którego dla braku miejsca nie mogę tu przytoczyć w całości. Jeżeli te pozycje przytaczam, to li tylko dlatego, aby pokazać paniom, że francuzka, przy tak skromnym budżecie, pozwolić sobie może na artykuły zbytku, o których u nas kobieta—o takich samych środkach marzyć nawet nie może. Wydatki dzieci 5<sup>o</sup>/<sub>o</sub> 100 franków—25 złotych, bardzo mało; jeszcze, szyjąc sama, matka dzieci ubrać może potrafi, ale gdzie są rozrywki, konieczne dziecku, gdzie jakiś sport, książki, przejazdy?

Dotąd budżet francuski różni się od naszego co do cyfr, co do poszczególnych pozycji, zaś, jest zupełnie do naszego podobny. Teraz dopiero zaczynają się niespodzianki. 10<sup>o</sup>/<sub>o</sub> comiesięcznego dochodu, czyli 200 fr.—50 złotych—odkłada się na wakacje, na odpoczynek letni na wsi, w górach lub nad morzem,—stanowi to rocznie 2400 franków—600 złotych, za które możnaby i u nas spędzić parę miesięcy na łonie przyrody, — lecz u nas tego nie przewiduje się wcale. Gdy przyjdzie wiosna, szuka się na to specjalnych środków, przeważnie drogą pożyczki, zastawu, awansu na pensję — zawsze obciążających nasze dochody na szereg miesięcy,—jeśli zaś te operacje kredytowe zawiodą, rodzina oddycha całe lato kurzem miejskim i dzieci nawet są pozbawione ożywczego obcowania z przyrodą. Dalej—5<sup>o</sup>/<sub>o</sub>—100 franków—25 złotych, drobne wydatki domowe, remont, reperacje, nabycie nowych sprzętów, naturalnie już w budżecie rocznym. 10<sup>o</sup>/<sub>o</sub> stanowią oszczędności, czy to w formie asekuracji czy też książeczki oszczędnościowej. Jeżeli śmierć lub choroba w rodzinie nie pochłoną tych oszczędności, wynoszących 2400 franków—600 złotych rocznie, całą tę sumę odkłada się na starość, kiedy każdy francuz marzy o maleńkim domku na przedmieściu, domku, otoczonym kilkudziesięciometrowym ogródkiem, gdzie będzie sam podlewał „swoją“ sałatę, obcinał „swoją“ jabłonkę i „swoje“ róże. My, w rzeczach poważnych, sprawach państwowych, finansowych i politycznych bardziej romantyczni, — kiedy chodzi o sałatę, jabłonki i róże,

jesteśmy dziwnie obojętni. Domek pod miastem niektórzy z nas nawet nie na starość mają, natomiast róże i sałata koło tego domu są szczęśliwym, a rzadkim wyjątkiem. Ostatnia pozycja 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub><sup>o</sup>/<sub>o</sub>—60 franków—15 złotych jest przeznaczona na wydatki, nie dające się przewidzieć; ile musielibyśmy na nie przeznaczyć, a raczej, dzięki zupełnemu brakowi organizacji życia naszego, ile takich wydatków mamy?! *Pani Elżbieta.*



### JARZYNKI PO GRECKU

Wyborna sałatka, jadana wszędzie na południu Rosji i Ukrainy, — u nas może znaleźć zastosowanie, jako przekąska po wódecie lub lekkie danie na kolację. Pół kilo marchwi, pół kilo grubej pietruszki pokrajać w drobne paski, dodać także pokrajany duży seler, (około ćwierci kilo). Złożyć jarzynki do dużego rondla, podlać na spód nieco wody, aby się tylko nie przypaliły, przykryć pokrywą i dusić tak na parze, aż mięknąć zaczną. Pół kilo włoskiej kapusty poszatковать drobno, dodać do jarzyn, dusić dalej na parze, uważając, aby na dnie rondla zawsze było trochę wody. Po kilku minutach dodać cztery duże cebule, oczyszczone i pokrajane drobno i dwa duże taksamo przyrządzone pory. Zalać dobrą pół szklanką oliwy, wrzucić kilka ziarn pieprzu i ziela, listek, przykryć pokrywą, dusić dalej dobre pół godziny na bardzo wolnym ogniu i wciąż potrząsając rondlem. Nakoniec dodać cztery łyżki marmolady pomidorowej, (jesienią także ilość świeżych pomidorów) osolić do smaku, wlać dobrą łyżkę najlepszego, winnego, mocnego octu, zagotować raz tylko, wynieść na chłód dla zupełnego wystudzenia. Na chłodzie może stać parę tygodni nie zmieniając smaku.

### OWOCE W GALARECIE

Trzy gruszki i trzy jabłka obrać z łupin, przekrajać na ćwiartki, ziarnka odrzucić. Szklankę cukru zagotować z czterema szklankami wody, włożyć kawałek cynamonu, dwa goździki i gruszki. Gotować wolno, aż gruszki zmiękną, wtedy dodać jabłka i gotować jeszcze chwil kilka, uważając, aby się nie rozpadły, wyjąć gruszki i jabłka durszlakową łyżką. Ulep precedzić, wcisnąć doń sok z całej cytryny i trochę skórki utartej z tejże cytryny (zrobić to przed cedzeniem ulepu,) dodać na każdą szklankę ulepu dwa listki białej żelatyny, wpięrow wymoczonej w zimnej wodzie, później rozpuszczonej w paru łyżkach gorącego syropu. Nalać tej galarety na dwa palce do formy, zastudzić na lodzie. Na tem ułożyć trochę jakichbądź konfitur, osączonych z syropu, potem gruszki i jabłka, także wlać syropu i wynieść na godzin dwanaście na chłód. Łatwa do wykonania, niekosztowna, a smaczna i elegancko wyglądająca potrawa.

### JABŁKA W SZLAFROKACH

Z pół kilo mąki, ćwierć kilo masła, dwóch łyżek cukru, i wody zagnieść ciasto niezbyt twarde, łatwo dające się wałkować. Osiem jabłek kwaskowych, najłepiej antonówek obrać z łupin, wybić rurką środki,



Ciasto rozwałkować cienko, pokrajać na kwadraty tak duże, aby jabłko można było w każdy z nich owinąć. Na środku każdego kwadratu stawiać jabłko, otwór środkowy napełnić migdałami utłuczonymi z cukrem, konfiturami lub wprost cukrem z cynamonem. Cztery rogi ciasta zawinąć do góry, ścisnąć je mocno aby się nie rozpadły, posmarować ciastko żółtkiem, osypać kryształem i upiec w niezbyt gorącym piecu, aby się ciasto nie spaliło, a jabłka wewnątrz mogły dobrze dojść. Zależnie od rozmiaru jabłek z tej ilości ciasta wychodzi osiem do dwunastu sztuk ciastek.

### PIECZEŃ BARANIA NADZIEWANA

Pieczeń baranią obrać czysto z tłuszczu, sparyć lekkim octem z korzeniami, potrzymać w nim dwadzieścia cztery godziny, przekroić w całą długość, wyjąć wszystkie kości, rozplaszczyc na stole, posolić, popieprzyć, natrzeć cebulą, a kto ten zapach znosi i czosnkiem. Wziąć kilo miękkiej, przerstalej wieprzowiny, lub tyleż cielęciny, w ostatnim wypadku należy czwartą część cielęciny zastąpić młodą słoniną, lub cielęcym łojem nerkowym. Mięso przepuścić przez maszynkę, dodać dwie bułki (warszawianki) wymoczone, dużą cebulę przesmażoną w maśle, garść zielonego koperku lub pietruszeczki, dwa jaja całe, osolić, popieprzyć, wyrobić mocno farsz, posmarować równo na baraninę, skrócić mocno, jak roladę, zaszyć wkoło grubymi nićmi, osznurować grubszym sznurkiem, aby nie pękło.

W żelaznym garnku zrumienić sporo masła, lub szmalcu, na tem położyć pieczeń, obrumienić ją mocno ze wszystkich stron, dodać włoszczyzny i cebuli, jak do sztufady, podlać rosółem lub wodą i dusić około trzech godzin. Jeżeli ma się ją podawać na gorąco, odjąć nici i sznurki, pokrajać w plastry i polać sosem własnym, zaprawionym łyżką mąki i przefasowanym przez sito. Do tej pieczeni odpowiednie są fasole zielona lub biała, krokietki z kartofli lub buraczki duszone. Jeżeli chcemy tę pieczeń podać na zimno, co też jest bardzo smaczne, należy po zupełnym wystudzeniu, najlepiej w dwadzieścia cztery godziny po upieczeniu, pokrajać roladę w cieniučne plastry i podać z kartoflaną sałatą, ćwikłą, czerwoną kapustą, lub zimną ostrą przystawką i sosem musztardowym lub tatarskim.

### ESENCJA LEMONIADOWA

Na większych przyjęciach, gdzie jest bardzo kłopotliwym ciągle przyrządzanie lemoniady z cytryn i cukru, dogodnie mieć przygotowaną w butelkach esencję, którą w miarę potrzeby rozpuszcza się do smaku wodą zimną. Z dziesięciu cytryn wycisnąć na maszynie sok, przedtem z dwóch cytryn otrzeć żółtą skórkę parą, lub więcej, kawałkami cukru. Do rondelka wsypać kilo cukru, wlać sok z cytryn i szklaneczkę wody, wymieszać doskonale, zagotować raz na wolnym ogniu, wrzucić cukier otarty o skórki, odstawić od ognia, zlać w butelki po zupełnym wystygnięciu dopiero.

*Pani Eżbieta.*

## DOBRE RADY

Jedwabnych, wełnianych i kolorowych rzeczy nie pierze się nigdy w zwyczajnym mydle, które z powodu gryzących pierwiastków mogłoby zmienić ich barwy. Używa się do nich mydlika, albo kory drzewa Quil-layi (panama), biorąc 10 litrów wody gorącej na pół kilo drobno pociętej kory; nalewa się ją ukropem — zostawia na kilka godzin, a gdy naciągnie, macza się w tym odwarze zbrudzone tkaniny, zostawia na kwadrans, pierze raz lub dwa — w końcu płócze w letniej wodzie. Każdą rzecz przed praniem trzeba dobrze wytrzeć z kurzu i wyczyścić z plam. Jedwabie, szale i jumpry najlepiej prać w mydle „Lux“, postępując według przepisu.

\* \* \*

Odciski powstają z ciasnego i niewygodnego obuwia i bywają nieraz bardzo dokuczliwe. Specjalnego lekarstwa na nie niema. Najlepiej moczyć nogi w ciepłej wodzie, a następnie zeszkrobywać szczyrykiem — nigdy wycinać. Dobry jest środek następujący: zmieszać 30 części kwasu salicylowego, z 40 częściami kollodjum i 5 częściami ekstraktu z konopi indyjskich smarować odciski tym płynem zapomocą pędzelka.

## KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

**Pani Januszowej.** Suknię popielatą wieczorową będzie ładnie przybrać różową georgette'ą bardzo dzisiaj modną, brzegi georgette'y nabić tak bardzo dziś modnemi blaszkami metalowemi, w kolorze najlepiej dobranym do całości — Nauki liworyzacji udziela pani inżynierowa Szretterowa, Warszawa — Mokotów, ul. Puławska 18, m. 62. Przyborów do tej roboty dostanie Sz. Pani w firmie: J. Buroff, Warszawa, Nowy-Świat 47.

**Prenumeratorce z Panewnika.** Aksamit zbrudzony od włosów wyczyścić benzyną, jeżeli odrazu nie puści, wycierać czystym kawałkiem dopóki zupełnie puści. Po wyschnięciu wyszczotkować miękką szcotką.

**Płócczance.** Podręczników freblowskich znajdzie Sz. Pani duży wybór w księgarni Arcta w Warszawie, ul. Nowy-Świat 35, lub u Gebethnera, ul. Sienkiewicza 9. Niech Sz. Pani napisze do nich, a przyślą katalogi szczegółowe. Z dzika szynki najlepiej zamarynować jak wieprzowe, następnie uwędzić mocno, jeść na surowo cieniutko krajane. Chcąc zrobić pieczeń z dzika, trzeba ją dobrze zbić, zamarynować w occie z korzeniami, w którym leżeć powinna kilka dni. Dobrze także jest zakopać mięso owinięte w ściereczkę umaczaną w occie, na parę dni w ziemi. Najlepsze jednak z dzika są szynki i kiełbasy wędzone.

**Pani W. Ł.** Wzór o który Sz. Pani zapytuje jest zmniejszony — wielkość naturalną może Sz. Pani dostać, po nadesłaniu 1 złp. 50 gr. do Administracji naszego Tygodnika. Poduszka powinna być wykonana na atlasie, grubej materji, ostatecznie na suknie, koniecznie jedwabiami. Wykończyć trzeba ją wodą wymarszczoną — lub dwiema falbankami wąskimi, położonemi jedna na drugiej obrębionemi mereżką — tak aby formowały rodzaj grzebienia wokoło.

**Prenumeratorce „Bluszczu“.** Szale, chustki trójkatne i kwadratowe długo jeszcze będą modne. Robi je się z crêpe de Chine'u z długimi frendzlami z lacet — malowane, haftowane, lub aplikowane kwiatami włóczkowemi. Najmodniejsze obecnie.

KTO CHCE TANIO I ŁADNIE UBRAĆ CHOINKĘ I PRAKTYCZNIE URZĄDZIĆ ŚWIĘTA — MUSI NABYĆ

## „OZDOBY CHOINKOWE“ I „POTRAWY WIGILIJNE“

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“.

Cena każdego zeszytu 1 zł. 50 gr., które należy przesłać do Administracji „Życia Praktycznego“

Krak. Przedm. 99 przekazem pocztowym, lub na konto P. K. O. 170.



są perfumy „Pourpre d'automne“ i „Sketch“. Z krajowych doskonałe są firmy Stępniewicza w Poznaniu. — Obrazy zawsze ładnie wyglądają w złożonych ramach — można zastosować inne mahoniowe np. odpowiednio naturalnie do umeblowania.

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI

N. N. Obecnie masaż jest bardzo popłatny. Los smutny Pani może poprawić nauczenie się masażu. Doskonała szkoła masażu jest utworzona w Warszawie ul. Zgoda 30. Kurs 4 miesięczny, rozpoczynający się w grudniu i we wrześniu. Koszt 300 zł. za nauczenie się masażu, codziennie 2 godziny pracy — wykładają sami asystenci uniwersytetu, wykładawcą Dr. Kołodziejcki dyrektorem, Dr. Zorski masaż. Po ukończeniu świadectwo wykwalifikowanej masażystki. Egzamin przed Komisją państwową.

**Czytelniczce „Bluszczu“ Vis.** Istnieje bardzo dużo różnych zakładów i sal gimnastycznych w Warszawie. Po szczegółowe wiadomości w tej sprawie proszę się zwrócić do Akademickiego Związku sportowego. Zakład gimnastyczny przezemnie osobiście znany jest Olszewskich, Aleje Jerozolimskie 17. Prowadzi gimnastykę pani Olszewska, wybitna siła fachowa, obznajmiona z najnowszymi metodami. Cena około 15 zł. za 2 razy, w tygodniu. Ćwiczenia, osobno dla mniej i bardziej wyćwiczonych osób; godziny ranne, lub wieczorowe. Panie ćwiczą oddzielnie.

**Czytelniczce ze wsi.** Na łojotok włosów i skóry głowy (łupież) bardzo dobrym środkiem jest naświetlanie „Światłem górskim“ Ostrzegam jednak, że promienie tego światła muszą być bardzo umiejętnie stosowane.

Kilka takich posiedzeń nie tylko osusza, ale i wzmacnia włosy. Po przeprowadzeniu kuracji świetlnej, należy kontynuować ją przez pewien czas, zapomocą lekarstw, o wskazanie których proszę napisać.

**Zuli.** Przyrząd do masażu na schudnięcie „Punkt-Roller“ nie wiele jest wart, chociażby dlatego, że nigdy martwy aparat nie zastąpi ręki, która wszelkie subtelnosci uchwyci i potrafi dostosować się do indywidualnych potrzeb i skóry i organizmu.

Proszę stosować masaż ręką ludzką, gimnastykę, według wskazówek zawartych w książeczce: 15 minut dla zdrowia „M. i sporty“.

Jeżeli nie może pani poświęcać tym rzeczom czasu, to w takim razie proszę używać ziółka amerykańskie Żararaki, które działają mocno i potopędnie i wpływają na dobrą przemianę materji. Ziółka te należy stosować od 2 — 3 miesięcy, aż do otrzymania równowagi. Co do plam czerwonych na twarzy, występujących po myciu i znikających po godzinie, to trudno radzić bez zobaczenia może mydło złe, lub woda zbyt twarda. Proszę spróbować myć się mydłem „Moje mydło liljowe“ Dr. Świtalskiej, ciepłą wodą, potem spłókiwać zimną i „wetrzeć odrobinę kremu „Mój krem“.

**Pani Kapitanowej.** Aby określić czy może pani zająć w ciąży, trzeba koniecznie zbadać pania. Bez zobaczenia nie mogą nic o tem powiedzieć. Zasadniczo, po poronieniu sztucznie, ciąża jest możliwa.

Co do dolegliwości stałego czerwienia się to niema na to rady. Jest to stan zbytnej pobudliwości nerwów rozszerzających naczyń, który z wiekiem minie. *Dr. J. Świtalska.*

\* \* \*

Na liczne zapytania Czytelniczek jak wykonać należy poszczególne wzory, radzimy nabyć książeczkę p. t. „Haft kolorowy“, która zawiera dokładną naukę wszystkich ściegów, oraz wzory naturalnej wielkości i kosztuje 1 zł. 50gr.

Otrzymać ją można w Adm. „Bluszczu“, która dla Czytelniczek nie dolicza kosztów przesyłki.

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 49

1111. Kapeluszek aksamitny koloru feuille morte wstążka oliwkowa.  
1112. Suknia granatowa wełniana, kamizelec biała  
1113. Suknia z marocain koloru lie de vin, przybranie beige, guziki o ton ciemniejsze.  
1114. Suknia czarna aksamitna, guziki pasmanteryjne.  
1115. Popielata suknia z lekkiej wełny, kamizelka i kołnierzyk z białej georgette'y.  
1116. Ubranko z ciemnozielonego aksamitu, kołnierz z białego rypsu.  
1117. Suknia wełniana koloru blond, haftowana nitką ciemno brązową.  
1118. Suknia aksamitna koloru taupe przybierana bibretami,  
1119. Ciemno zielona aksamitna suknia przybierana popielatym lisem.  
1120. Brązowa wełniana suknia, kamizelka crêpe de chine'owa koloru ivoir, haft tonowany.  
1121. Granatowe szewiotowe ubranko dla człopczyka od lat 4—5.  
1122. Kombinacja crêpe de chine'owa koloru lila, koronki żółte.  
1123. Negliz z błękitnej materji, wstążki granatowe  
1124. Kombinacja blade różowa, wstążki lie de vin.  
1125. Markizetowa kombinacja koloru paille rozszywana koronkami.  
1126. Garnitur opalowy mereżkowy.  
1127. 2 wzory aplikacji na suknię lub szlafrok.  
1128. 2 wzory haftu na suknie lub palta.

**UWAGA:** Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3,50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 2,50
bluzka . . . . .	„ 2,00
formy dziecinne. . . . .	„ 2,00
bielizna . . . . .	„ 1,50

Wzory, umieszczone w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50,  
poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza tymi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

\* \* \*

Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.



PRZEMYSŁ  
MYDLARSKI  
i  
PERFUMERYJNY  
FRYDERYK PULS S. A.  
WIERZBOWA 11.